

Nr 1 (80)
2020



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE

PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

W TYM NUMERZE: OD RED. NACZ. I.K. SZMIDTA – KALAFIOR, czyli WSZECHŚWIAT i FELIETON O MŁODEJ POEZJI * ESEJE JERZEGO ALSKIEGO i K. KAMŃSKIEJ O GORZOWSKIM KLUBIE TEATRALNYM W PROZIE ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO * LUBUSKIE WAWRZYNY LITERACKIE i LAUDACJE KAPITUŁY DLA LAUREATÓW: * WERSZE W WIELKANOCNYM KLIMACIE: JANUSZA DRECKI, JERZEGO HAJDUGI, WERSZE Z GORZOWA i OKOLIC: MARKA LOBO WOJCIECHOWSKIEGO, MARIU BORCZ, JANINY JASZKI JURGOWIAK, ADAMA B. WIERZBICKIEGO, AGNIESZKI GINKO, MARKA STACHOWIAKA, BEATY P. KLARY, JOLANTY KARASIŃSKIEJ, IRENY ZIELIŃSKIEJ, SŁAWOMIRA OSIŃSKIEGO, LECHA JAKUBOWSKIEGO i JERZEGO GAŚIORKA * ZAPISNIK NIECZODZIENNY i NOWE WERSZE CZESŁAWA SOBOKOWIAKA * RECENZJE i OMÓWIENIA NOWYCH KSIĄŻEK LUBUSKICH: KRYSZYNA KAMIŃSKA, ANNA DOMINIAK i ANDRZEJ PIERZCHAŁA * DEBIUTY PROZALUCYNY MIOSI i ARTURA BORATCZUKA * OPOWIADANIE JANUSZA WŁODARCZYKA * WIADOMOŚCI LITERACKIE * SATYRA FERDYNANDA GŁODZIKA i JERZEGO GRODKA.

JANINA JASZKA
JURGOWIAK

WSZECHŚWIAT

Wielki kalafior,
fraktalna kosmologia.
W szczególnych
okolicznościach
można przejść między
czterema wymiarami:
czasem i przestrzenią,
płaszczyzną i bryłą.
Wszystko jest połączone:
część to całość,
całość to część.
Złożoność, organizacja,
rozbudowa.
Wielki hologram.

Jerzy Alski
LAYLA

Layla to baśń. Perska i o miłości. Baśnie perskie są najlepsze, baśnie o miłości są najlepsze z najlepszych. Właściwie ma tytuł „Layla i Mandżun”, ale że zawsze chodzi o Laylę, w której ktoś się zakochał do szaleństwa, a nie kim był Mandżun. Layla jest jedyna, niepowtarzalna – jest unique, zaś Mandżun po arabsku znaczy „szaleniectwo”, czego należało się spodziewać i niepotrzebna do tego znajomość języka arabskiego. W opowieści ma na imię Quays. Ale oddajmy i jemu sprawiedliwość – bez jego szaleństwa historia, którą opowiem, biegłaby zupełnie inaczej, a ja zostałbym pozbawiony pewnej refleksji – cennej, nawet jeśli melancholijnej.

Młodzieniec Quays był piękny i pochodził z szacownej rodziny, w której dorastała również jego kuzynka – Layla. Któregoś wieczoru Quays spojrzął na nią inaczej – być może była to kwestia oświetlenia albo zapachu unoszącego się w powietrzu – i popadł w szaleństwo miłości. Layla była skłonna, a on zaczął pisać do niej i dla niej poematy

cd. na str. 2





OD RED. NACZ.

WSZECHŚWIAT, czyli KALAFIOR

Witajcie w czasie zarazy! Kto by przypuszczał, że taki nam się w „dwudziestopierwszym” wieku cywilizacji przydarzy? Zbyt ufnie byliśmy w wychuchany system organizacji wszechświata, który zapewniała nam produkcja realizacji marzeń niemal każdemu dostępnych na wyciągnięcie ręki. Zniknęły granice, można było w nieskończoność podróżować do egzotycznych krajów i opalać się na równikowych plażach. A jakie bryki kusiły na Salonach! 6 sekund na „setkę”, 5 tysięcy KM, gąbłoty „samosiędające” lub ze ściany w garażu, kompy, tablety, internet, Facebook, Tik Tok, Netflix, Wikipedia itp., itd. I nagle w to nasze ułożone żyćko kopniak w dołek z repertuaru chińskiego wushu...

Nadeszła ta chwila, gdy zatrzymał się świat

Na tę jedną chwilę..., której zawsze brak

Na ten jeden uśmiech, jeden czuły gest

Na wytarcie łez... – starej piosenki tekst.

Zatrzymał się świat, bo za szybko biegł

Już nie widział traw, nie szanował drzew

W pośpiechu, bez uczuć, bez gestów i słów

Biegał do wieczora i od rana znów...

Bez bajki dla dziecka, bez kwiatka dla mam

Na dzwonek budzika, w inny wymiar ram...

Sam bez słowa otuchy i ślepy na ból

Gdzie pieniądze bogiem, gdzie mobilny król

[...] Teraz przyszła chwila i nas zatrzymała,

By LUDZKA ISTOTA wreszcie pomyślała

Ten wierszyk-piosenka wpadł mi w tekst, gdy przerwałem na chwilę pisanie, by rutynowo, jak co dzień, odebrać pocztę WP. Otwieram ją, a tu wiadomość od niestrudzonej promotorki sztuki i literatury, Basi Schroeder, właścicielki salonu „Na Zapiecku” w INNEKO, że otrzymała właśnie poruszający wiersz od Polki mieszkającej w Italii, z komentarzem, że jak zawsze w chwilach trwogi potrafimy wycisnąć ze swej duszy wszystko, co najpiękniej nam w niej gra... I dalszy ciąg felietonu „sam się napisał”.

A na pierwszej stronie tego 80. jubileuszowego numeru *Pe-gaza* debiutantka sprzed dwóch lat, poetka w wieku, jak ja podatnym na wirusa – Jaszka Jurgowiak z Gorzowa, opisała trochę więcej niż nasz świat, bo aż WSZECHŚWIAT w porządku naturalnym struktury kalafiora. To najmańdrzejszy wiersz ostatniego dziesięciolecia. Znaleźć i w metaforę zamknąć niepoznane, nieogarnięte rozumem i praktyką, może tylko poeta.

Czy po po hekatombie zarazy wróci porządek utraconego świata? Czy zdołamy się pozbierać w spolegliwe (godne zaufania) społeczeństwo? Wszak dezintegracja ludzi, zwłaszcza rodzin oraz środowisk twórczych i naukowych, która nastąpiła w stanie wojennym 1981-1983, trwała po nim bardzo długo. Do dziś TRWA, co widać w rozwodach, podziałach i rozpadach bez sensu. Zbliży się ostatnie zdanie w tym tekście, czas na pointę. W ostatniej zwrotce wiersza z 2005 r. pt. *Jeszcze* („Ludzkie pojęcie”, s. 5) już raz wyraziłem to, co chcę i dziś wyrazić: *Powysychały źródła łez czułych, prawdziwych / Jest stosunkowo dobrze, można żyć – na niby / Łez nie ma ale padół powiększył wymiary / Zlituj się dobry Boże – wróć porządek stary.*

Tego sobie i Wam życzę z okazji Wielkanocy w czasie zarazy.

Ireneusz K. Szmidt

JERZY ALSKI



cd. ze str. 1

niezrównanej piękności. Musiały to być mocno śmiałe utwory, skoro ojciec dziewczyny zwrócił się do kalifa o pozwolenie na zabicie aroganckiego miłośnika. Ten poprosił o wiersze, a po przeczytaniu ich zdumiał się niezmiernie. Jak piękna musi być dziewczyna, dla której mężczyzna pisze tak szalone poematy? Nakazał przywieźć oboje do pałacu, a ujrawszy ich zdumiał się powtórnie. Bo Layla była chuda, drobna, spalona słońcem. „Dlaczego pokochałeś aż tak dziewczynę, w której nie widzę nic nadzwyczajnego?” – zapytał. I dodał: „Ona jest mniej piękna niż najmniej piękna spośród moich kobiet”. Szaleństwo niekiedy czyni człowieka geniuszem, tym razem uczyniło ono geniusza z Quaysa. Jego odpowiedź: „Nie macie, panie, moich oczu. Moimi oczami widzę jej niezrównane piękno i moja miłość do niej jest nieskończona”. Pięćdziesiąt wielbłądów jest ceną więcej niż godziwą za narzeczoną, a tyle zaoferowała rodzina Quaysa, niemniej urażony ojciec Layli odmówił. Zrozpaczony Quays, teraz już jawnie wyszydzany jako Mandżun, udał się na pustynię, gdzie żył między dzikimi zwierzętami i pisał poematy pełne miłości do Layli. Któregoś dnia znaleziono go martwego. W rękę ścisnął ostatni, niedokończony poemat o ukochanej. Być może ten:

Wędruję przez zasłony, przez zasłony Layli

Całuję tę zasłonę i tamtej też dotykam ustami

To nie Miłość zasłon olśniła me serce

Ale Miłość tej Jedynej, która jest w nich ukryta.

Nie jest to koniec opowieści, a zaledwie jej początek. Historia ta zyskiwała stopniowo rozgłos i uznanie, była zestawiana z opowieścią o Tristanie i Izoldzie, o Romeo i Julii, aż Eric Clapton zakochał się do szaleństwa w Pattie Boyd. Rzecz miała miejsce pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Eric Clapton był już sławny jako frontman supergrupy „Cream”, ale też jako solista – śpiewak – gitarzysta (a gitarzystą był genialnym). Pattie Boyd była zaś modelką i kreatorką mody – wspólnie z Mary Quant wymyśliła minispódniczkę, no i była żoną George’a Harrisona – tego od Beatlesów. Clapton zobaczył Pattie raz – i oszalał. A potem napisał „Layle”.

Laylo, masz mnie na kolanach,

Laylo, proszę, błagam kochanie,

Laylo skarbie, nie ukoisz męki moich myśli?

Trzeba się wczuć w sytuację. Jest rok siedemdziesiąty, Harrison z Beatlesami jest u szczytu sławy, o gitarę Claptona dobijają się najlepsze grupy, oni obaj przyjaźnią się ze sobą, razem komponują i grają. I nagle Clapton z grupą Derek and the Dominos wyskakuje z czymś, co w żaden sposób nie mieści się w – dość pojemnym – kanonie muzyki rockowej. Bo „Layla” to utwór szalony, a szaleństwo bije z niego od pierwszej frazy – pierwszego zdania muzycznego. Otwierająca go zawiła figura gitarowa rozpoczyna się hektycznym biegiem szesnastek w górę i w dół, potem zjawiają się ósemki, jakby dla nabrania powietrza, i zaraz wracają szesnastki. Gitara Claptona nie gra – ona płacze, jęczy, wyje, prosi, błaga; jego kunszt, niczym w poematach Quaysa, wznosi się na wyżyny geniuszu. Do jej wtóru Eric Clapton nie śpiewa – robi dokładnie to samo, co gitara.



*Zróbmy to, co najlepsze dla nas,
Zanim do szczętu oszaleję,
I nie mów, że nie ma dla nas drogi,
Że cała moja miłość jest daremna.*

George Harrison zajęty był hinduską medytacją i małżeństwo z Pattie trochę mu się sypało (rozwieśli się w 1974). Ale i tak dziwne, że nie poturbował kolejnego aroganckiego szaleńca, jakim stał się Eric Clapton. Pattie natychmiast zyskała przydomek i pisano o niej: Pattie „Layla” Boyd. Opierała się dziewięć lat, w trakcie których Clapton romansował z jej młodszą siostrą, pił, ćpał, grał i śpiewał „Laylę”. Ale nie rezygnował. Ślub wzięli w 79, przechodząc tym samym do drugiej części „Layli” Claptona – bo utwór jest dwuczęściowy. Po niebывалym, wysokotonowym jazgocie gitar, z empatyczną precyzją oddających zamęt emocji Claptona-Mandżuna, muzyka stopniowo cichnie, fałuje i pojawiają się pierwsze akordy fortepianu, prowadzącego linię melodyczną pełną miłości – teraz już dwojga – pełną czułości i uśmiechu, a nawet – w szczególnie sposób – wzniosłą. Jakby teraz Clapton opowiadał swojej Layli o tym, co będzie dalej. Oczywiście nie wyszło, jak zwykle w takich miłościach; rozwieśli się po dziewięciu latach. Niemniej „Layla” została, a jej sława z upływem lat tylko rosła.

Jeżeli ktoś uważa, że ta historia w tym miejscu się kończy, popełnia błąd. Bo Clapton do „Layli” wrócił. Po 22 latach od jej debiutu, na koncercie „MTV unplugged” (co oznacza: bez prądu) wykonał jej nową wersję. Oglądałem ten koncert. Słuchałem zdumiony, osłupiały, rozszalony, wściekły. Coś ty chłopie zrobił ze swoją miłością?! Na estradzie siedział starszy koleś w okularkach i pitolił na gitarze. Nieźle – bo to nadal świetny gitarzysta, ale pitolił. Na dodatkę podśpiewywał – nawet nie śpiewał. 22 lata temu płakał i wył. I co? Nic, nic nie zostało??? Widać – nic.

Nie potrafię tak. Jeżeli kiedykolwiek zauważę, że nie potrafię zachwycić się czymś wzniosłym, szalonym, co mnie w życiu spotkało, będzie to dla mnie znaczyło, że umarłem. Nawet jeśli oberwałem, jeśli bardzo bolało, to jeżeli kiedykolwiek byłem szalony, szaleństwo w tamtych przeżyciach jest nadal obecne. Oczywiście, kolejne zdarzenia i emocje tamto coś przykrywają, ale ono tam jest – niezmiennie. I nie o to chodzi, żeby tam wrócić, tylko o to, że ono takie jest i będzie już na zawsze. Byłoby zbrodnią na samym sobie sprowadzić własną „Laylę” do takiej sobie pioseneczki. To jakby „Arie Królowej Nocy” w „Czarodziejskim flecie” Mozarta zastąpić „Majteczkami w kropeczki”. No niech to szlag trafi!

Dla dużej klasy emocji czasy są trudne. Zarzucani, zawaleni wręcz sypiącymi się na nas zewsząd spłaszczonymi obrazami świata, sami zaczynamy być płascy. Kunszt techniczny, dobra melodyjka, niezły wokół, chórki... A emocje? Coraz ich mniej, coraz bardziej one płaskie i coraz więcej tych złych – choć też powierzchownych. Bo jakżeż ma się opadająca nas co chwila złość do jednej, homeryckiej wściekłości Achillesa? Jakżeż się ma internetowy podryw, a po nim układ partnerski, do szaleństwa Quaysa, a potem Claptona? Tylko że ten pierwszy zmarł, pisząc poemat o Layli, a ten drugi odkurzył swoją szaleńczą pieśń chyba jedynie po to, żeby jeszcze trochę na niej zarobić. Oczywiście, z takich emocji i trochę wyrastamy, i dorastamy do samych siebie – dorosłych. Tracimy, może chowamy w sobie dziecko – bo nie są właściwościami dorosłych aż takie miłości,

aż takie rozpacze, aż tak szaleńcze nadzieje. Ono – to dziecko – czasami się budzi. Coraz ma trudniej z nami, nie tylko dorosłymi do siebie samych, ale też coraz bardziej wpasowanymi we współczesność, toczącą się po nas jak walec i jak walec spłaszczającą nas do ekranów smartfoników. Każdy z nas – niegdyś obraz, niejeden z nas – dziś obrazek.

W moich powieściach „Layla” Erica Claptona pojawia się kilkakrotnie – i zawsze ta pierwsza. Do niej próbują osiągnąć ich bohaterki i bohaterowie. Pojawia się w nich też wiele podobnych do tych tutaj myśli i czasami odkrywam je ponownie – zaskoczony. Z drugiej w kolejności, o tytule „Prezent”, dwie.

Bo teraz świat niedoroslých zabija, po prostu. Pozostawiając puste, dorosłe opakowania po dzieciach.

I jestem tym zachwycona, jak dziecko. Jakbym rzuciła kamieniem w taką olbrzymią wystawową szybę i z euforią patrzyła, jak ona rozpada się na tysiące kawałków.

Może jeszcze jest czas, może nie damy się zabić, może nie pozostaną po nas opakowania? Mam nadzieję.

Alski

JANUSZ DRECZKA

na Wielkanoc 2020 roku

*Opowiedz mi o sobie
i zmartwychwstaniu Chrystusa.
Ukryci pod maskami tworzymy się od nowa.
Zaglądasz w głąb groty
wyscielonej jedwabiem morskim.*

*Czego szukasz w świętych miejscach życia Jezusa?
Swoje szczęście po polu rozrzucasz
na stoku wzgórza ponad Doliną Gehenny?*

*Nie zostawiaj mnie samego
tylko dlatego żeby powrócić.*

*Nie zagubiłem się
nie ma mnie pod przykryciem.*

*Wiosenny poranek Wielkanocy
dla wszystkich razem jest bardzo radosny.*

Wesoły nam dzień dziś nastał!...



XXVI LUBUSKI WAWRZYN LITERACKI W KATEGORII POEZJA. WERDYKT KAPITUŁY

Nominacje do tytułu najlepszej książki roku 2019:

1. Beata Patrycja Klary, *martwia*, Szczecin, Zaulek Wydawniczy Pomyłka,
2. Marzena Więcek, *Hekabe Suka liże wiatr*, Zielona Góra, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna,
3. Marek Lobo Wojciechowski, *Dzień kreta*, Łódź, Wydawnictwo Kwadratura.

Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezja otrzymał Marek Lobo Wojciechowski za książkę *Dzień kreta*, Łódź, Wydawnictwo Kwadratura

Dyplom za debiut literacki:

Hanna Chmielewska, w *poszukiwaniu łuski*, Wrocław, *Liberum Verbum*

Dyplom za walor edytorski książki

Justyna Koronkiewicz, *Naturalna kolej rzeczy*, *Pro Libris*, Zielona Góra

Dyplom honorowy za całokształt twórczości:
Jolanta Pytel
Ireneusz Krzysztof Szmidt

Kapituła:

ks. dr hab. Andrzej Draguła, prof. US

prof. dr hab. Marian Kisiel (przewodniczący kapituły)

Jakub Pacześniak



XXVI LUBUSKI WAWRZYN LITERACKI W KATEGORII PROZA. WERDYKT KAPITUŁY

Nominacje do tytułu najlepszej książki roku 2019:

1. Hanna Bilińska-Stecyszyn, *Pelunia*, Lubniewice, Związek Literatów Polskich, Oddział w Zielonej Górze,
2. Marek Krukowski, *Jamimój*, Zielona Góra, Marek Krukowski,
3. Zofia Mąkosa, *Wendyjska winnica – Winne miasto*, Poznań, *Publicat*.

Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii proza otrzymała Zofia Mąkosa za książkę *Wendyjska winnica – Winne miasto*, Poznań, *Publicat*

Dyplom honorowy za całokształt twórczości:
Leszek Libera

Kapituła:

dr hab. Jerzy Madejski, prof. US

prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak
(przewodnicząca kapituły)

Roman Wojciechowski

Pochwała „dnia kreta”

Marka Lobo Wojciechowskiego

Czytając „dzień kreta”, stajemy wobec kogoś, kto mierzy się z rozpaczą i nie chce o tym powiedzieć wprost. W świecie wierszy Marka Lobo Wojciechowskiego bohater liryczny (a czasem podmiot) „wygrzebuje z siebie siebie” (*dzień kreta*, s. 5). „Wygrzebuje” w świecie społecznym i świecie prywatnym. Wszystko jest tutaj „także”, czyli – samozwrotne. Bohater (podmiot) jest tym, który patrzy, i tym, który doznaje. Obserwując to, co wokół niego, sam jest przedmiotem obserwacji. *To tylko my, coraz dalsi* (*szkic, przestrzeny*, s. 48). Doświadczając bliskości drugiej osoby, czuje jej (swoją) zbędność (*ultima thule*, s. 18). Bohater (podmiot) *bywa w miejscach, pomiędzy* (*dzień kreta*, s. 5). Nic nie jest mu obce, albo wydaje nam się, że nie jest mu obce.

Wypowiada się w swoim i nie swoim imieniu. Dlatego raz jest bohaterem, a raz podmiotem, lirycznym „ja”. Ustawia się w różnych sytuacjach, zmienia sposoby mówienia. Niekiedy przyjmuje pozycję mentora (*no dobra, wchodzisz*, s. 10), kiedy indziej zaś kogoś złamanego przez życie (*rozdzanie*, s. 11). Czasem wystarczy mu samo oglądanie (*starówka*, s. 12), w czym przypomina Marka Hłaskę z „Pierwszego kroku w chmurach”, czasem dodaje do tego swój – milczący – komentarz (*zderzenia*, s. 15).

W tym świecie – mówi podmiot – *Coś się jawi nagle / i nie wiem, czy ja piszę, czy jestem pisany* (z *Kołakowskim, w urodziny*, s. 17). W stanie rozszczepienia obrazy rzeczywiste i literackie nakładają się na siebie, wiążą z sobą i nie mogą się bez siebie obejść. „Całość robi wrażenie małej dbałości / o szczegóły, ale jest w miarę wiarygodna” (*skrawki*, s. 39). Co stanie się, gdy coś się skończy i zaczniesz inne? Gdzie będą ci, których

wciąż określamy zaimkami osobowymi? „Jak się czują inni bez nas?” (*coraz mniej*, s. 49). „Gdy jesteś komuś światem / całym i ten świat zabierasz – cóż zostanie / po tobie?” (*wychodzisz, drzwi za sobą zamykając*, s. 23).

Wrzuceni w świat, znamy jego przestrzeń i doświadczamy w nim czasu. Przestrzeń nas ogarnia, nawet jeśli nie zawsze uwodzi. Czas nas uwodzi, ale nie chcemy, by nas ogarnął. Jesteśmy tu, byliśmy tam, gdzie będziemy? To pewne: „przeszłość / umiera rzadko, a do końca / nigdy” (*balans*, s. 28). Czy rzeczywiście jednak „nie dowiesz się nigdy, / co będzie” (*wychodzisz, drzwi za sobą zamykając*, s. 23). „Śnieg zasypuje drogi, liże / stare rany spękanego asfaltu” (*next, more next*, s. 29). „Z tą wiedzą / jakby trochę lżej” (*korozja*, s. 46).

Rozszczepienie jest stanem bytu, przedmiotem refleksji. Bohater/podmiot poezji Marka Lobo Wojciechowskiego nie wchodzi w rolę – jakby powiedział Søren Kierkegaard – „ulubienca etyki”, czyli bohatera tragicznego. Nie sięga po otwartość piętnującą los. Nie jest też bohaterem estetycznym, zatajającym prawdę egzystencjalnych zdarzeń. Nie sięga po środki ostre, choć powie w odruchu rezygnacji: „wyszło jak zwykle, / pospolicie, do wyrzygania” (*skrawki*, s. 39); nie zasłania się zbędną metaforą, choć i po nią sięgnie, pisząc o nieuchronnym oddaleniu: „Twoja koszula – / plama na płótnie nocy” (*szkic, przestrzeny*, s. 48). Balansuje na granicy stylów. Będąc współczesny (rzeczywisty), chce być poetycki.

Wojciechowski pragnie intelektualnie opanować żywioł istnienia, wyzbyć się zbędnych emocji. Choć jest to poezja o człowieku i jego doczesności, nie pokazuje jednostki jako bytu cielesnego, zmysłowego, widzianego od trzewi. Uczucia – choć ujawniane – chowane są pod podszewką słów. Poeta jest kulturalny, bo rzeczywistość jest brudna. „I choć spadają gwiazdy, / do Betlejem nie dojdzie nikt” (*zsyłka*, s. 47); *i koniec pieś-*



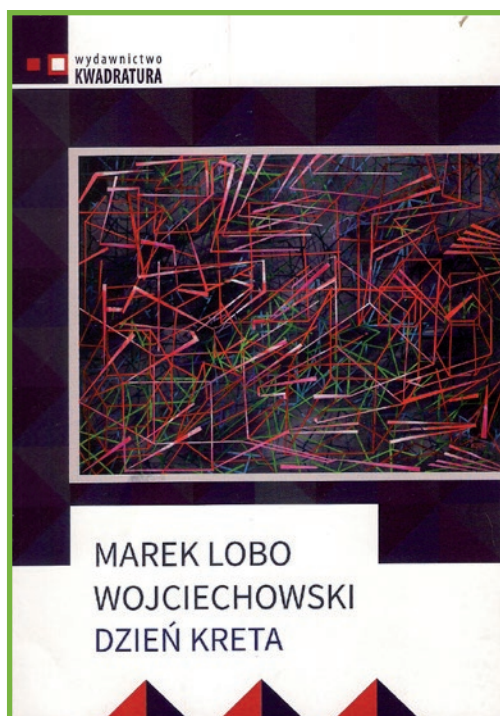
ni nie jest eufemizmem, lecz / pojedynczym, pękniętym dźwiękiem (przejście, s. 52).

W wierszu *atlantyda* przeczytamy: *straciłem dwie rzeczy: / cel i sens* (s. 31), ale w tym wyznaniu podmiotu nie ma ani otwartości, ani zatajenia. Jest natomiast coś, co można nazwać zabłąkaniem, nieświadomością rozpacz. *Jeżeli rozpacz jest zabłąkaniem, to nawet jeżeli się o tym nie wie, zabłąkanie pogarsza stan błędzenia* – pisał Kierkegaard o człowieku w jego doczesności. *Nie ma tego złego, co na dobre? / A jak było dobre kiedyś – co teraz?* – pyta Wojciechowski (*afazja*, s. 44). Odpowiedzi poszukuje w rozmyślaniach nad doczesnością i wiecznością.

W „dniu kreta” wieczność nie budzi lęku, a doczesność nie spotyka się ze złorzeczeniem. *Pytaniu: Na kim się wesprzesz, gdy odejdziesz? (coraz mniej, s. 49), towarzyszy pewność, że zawsze pójdziesz sam, boso, na ślepo (przejście, s. 52).* Chciałoby się powiedzieć, że bez balastu i z ufnością, bo choć *jutro nas zje (zwierzę, s. 42), to przecież stale wędrujemy w stronę bramy, która jest nieuchwytnie znajoma / jak coś, co masz na końcu języka (przejście, s. 52).*

Poezja Marka Lobo Wojciechowskiego jest mądrą próbą szukania odpowiedzi na pytania, które są stawiane zawsze tak samo, choć przez wciąż innych ludzi. Są to pytania wyobraźni w bezustannym napięciu. Poszukując jasności, spotkają się z ciemnością. Noc wciąga i noc oczyszcza. *Nikt nie wgląda / do końca, ciemność jest łaskawa, tylko księżyc – / po trosze obojętny, po trosze bezradny*” (*sawanny*, s. 22). Wiersze w „dniu kreta” są spod znaku księżycy.

prof. Marian Kisiel
przewodniczący Kapituły



MAREK LOBO WOJCIECHOWSKI

miot

*Słoneczko moje, gwiazdka – kołysanka cichnie,
dziecko śni siebie w wilgotnym wnętrzu.*

*Potem eksploduje – Nova, szukająca satelit.
W kręgach układów i zależności pączkują
kolejne orbity, tak niezbędne, jak nieważne.
Wszystko kończy się w pół kroku
do kolejnej próby zbawienia świata.
Zrozumienie jak niechciany współnik:
życie to cover, wyniesiony
z supermarketu. Całkiem inne
noce, dłonie szukające ciepła.
Nie nauczyłaś mnie ciemności,
mamo – płacze w ścianę. Wolniej
przez murszejące krajobrazy.
Tylko palce: coraz bliżej ostrza,
może spustu?*

*I nosi w sobie gwiazdę, wygastłą i mroczną.
Stygnący kawał żużlu.*

Karat

Hance

*Pies poszedł do psiego nieba i jest
mu dobrze. Ostatnie klepnięcia łopaty
jak głaskanie po grzbiecie.*

Łzy bywają bezradne.

*Pamiętasz? Tego wieczora syn napisał,
że zostaniesz babcią. Uśmiechałaś się przez łzy,
płakałaś uśmiechem.*

*Kładziemy na wagę nabrzmiałe ziarna kharruba –
wzór wartości, imię, próbujemy ćwiczyć milczenie
jak wyrabianie chleba. Pozwólmy sobie na ciche*

*przejście wzdłuż kas, bez słowa ureguluj rachunek,
podeprzemy się jedną łaską kiedyś,
przykryjemy jedną deską.*



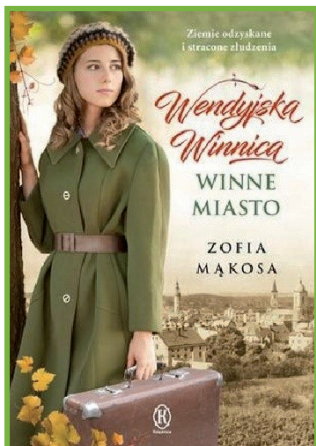
LAUDACJA
przewodniczącej Kapituły Prozy
prof. Małgorzaty Mikołajczak

Po ukazaniu się pierwszej części *Wendyjskiej winnicy* wiedzieliśmy już, że na Ziemi Lubuskiej pojawiła się pisarka, która potrafi nadać doświadczeniu historycznemu miejsca położonego na polsko-niemieckim pograniczu ciekawą, literacko atrakcyjną postać. Nie przypuszczaliśmy jednak, że wydanie drugiego tomu wendyjskiego cyklu stanie się wydarzeniem, które przyćmi sukces debiutu. *Winne miasto* to powieść nie tylko sprawnie skonstruowana (operująca spójną narracją, wartką fabułą i pogłębionym wielowymiarowym rysunkiem postaci), to także książka, na którą długo, bo przeszło siedemdziesiąt lat, czekali mieszkańcy regionu, a w szczególności – mieszkańcy „winnego miasta”.

Zofia Mąkosa stworzyła powieść założycielską. Pokazując „moment zerowy”, gdy niemiecki Grünberg przemienia się w polską Zieloną Górę, opowiedziała historię z gatunku fictions of memory (termin Brigit Neumann) i dowiodła, że literatura może być czymś więcej niż tylko medium pamięci zbiorowej i że nie należy jej sprowadzać do artystycznie przetworzonej faktografii.

Winne miasto to również powieść enograficzna. Osiągnięciem autorki jest zbudowanie takiej relacji między pamięcią a tożsamością kolektywną, w której trauma fundacyjna oraz związany z nią problem moralny zostają przeniesione w sferę symboliczną. I nie chodzi jedynie o grę znaczeń, opartą na homonimicznej wymienności: „winne miasto – miasto wina”. Pisarka sięga bowiem po motyw winiarski oraz związane z nim symboliczne imaginarium, by wyzyskać je na wielu płaszczyznach: by mówić o tym, co wyparte i przemilczane; by dopisać swoje literackie postscriptum do problemu wina, o którym pisał po zakończeniu wojny Karl Jaspers; by ukazując współistnienie biopamięci i historii (przenikanie się świata roślin i ludzi), zarysować krajobraz kulturowy miasta i wytworzyć reprezentację organizującą przestrzeń współbycia.

Książka Zofii Mąkosi nie usprawiedliwia, ani nie oskarża. Jej przesłanie służy odzyskiwaniu pamięci, umacnianiu więzi z miejscem i konsolidowaniu lokalnej wspólnoty. Udany wyraz artystyczny w połączeniu z mądrym, wyważonym głosem pisarki składają się na efekt, który bez wątpienia zasługuje na Lubuski Wawrzyn Literacki.



**NOMINACJA prof. Jerzego Madejskiego
dla „PELUNI”**

Pelunię Hanny Bilińskiej-Stecyszyn rozpoczyna akapit: *Moja mama miała bardzo piękne dłonie. Drobne, delikatne, pod koniec życia wręcz aksamitne. „A tyle się te ręce w życiu narobiły”, powtarzała, gdy się nimi zachwycalam. Palce miała dłuższe niż moje, szczupłe, zakończone kształtnymi migdałami paznokci. I zawsze zazdrościłam jej wygiętych kciuków* (s.7).

Te inicjalne zdania dają wyobrażenie o książce Autorki z Lubniewic. Od razu dowiadujemy się, że przedmiotem opisu jest matka Autorki. Tom należy więc do bardzo dzisiaj ekspansywnej odmiany pisarstwa – biografistyki, która ma swoje monumentalne realizacje i wyzwała burzliwe debaty: prasowe, telewizyjne, internetowe. Dodajmy, że w tym wypadku jest to biografistyka rodzinna. Hanna Bilińska-Stecyszyn świetnie rozumie, jak opowiedzieć o najbliższej osobie. Nie pisze historii czy kroniki rodu. Wybiera inny sposób przedstawiania. Tu książka biograficzna składa się z krótkich rozdziałów, które odsłaniają kluczowe zdarzenia z życia matki. Autorka zaczyna od portretu, szczególnego jednak, bo skupia się na dłoniach matki. Są one charakterystyczne, bo piękne i aksamitne. Słowo biografiki utrwala więc dotyk. Autorka wspomina zarówno czuły gest matki, kiedy była dziewczynką, jak i uścisk ogrzewający zziębnięte dłonie dojrzałej córki, gdy przybywa w odwiedziny do szpitala. Lecz opis rąk, będąc fragmentem portretu bliskiej osoby, stanowi w ekspozycji książki swoisty plan opowieści. Pelunia była bowiem krawcową. W szóstym rozdziale dowiemy się, jak matka Autorki przyuczała się do zawodu, w którym tak ważna jest sprawność palców. A Pelunia potrafiła stwarzać „krawieckie dzieła”. Z czasem powstał szyty dla córki „strój krakowski” na występy „Wiosny nad Nysą” i na sypanie kwiatków podczas procesji Bożego Ciała. Dodajmy, że inny rozdział książki nosi tytuł „A tyle się te ręce napracowały” i traktuje o domowym podziale obowiązków (oczywiście niesprawiedliwym). Hanna Bilińska-Stecyszyn odtwarza w nim z dbałością etnograficzną domowe pranie: w balii przy użyciu tarki i szarego mydła (s. 114).

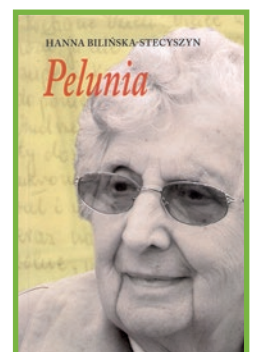
Możemy się zastanawiać, na czym jeszcze polega sukces biografiki? Kryje się on pewnie w ambitnie pomyślanym przedsięwzięciu, które Hanna Bilińska-Stecyszyn zasygnalizowała już w pierwszym rozdziale. Chodziło o to, by opisać „długie, nie najgorsze życie i dobrą starość” matki (s. 8).

Jak to jednak robi? Wiemy, że ostatnio, za sprawą wykładu Olgi Tokarczuk, wiele się mówi o sztuce opowieści. Bilińska-Stecyszyn wykorzystuje jednak inny model narracji niż ten, za którym tęskni nasza noblistka. Nie chce z czułością opowiadać o całym świecie i nie poszukuje narratora czwartoosobowego. Pragnie w pogodnej tonacji zrelacjonować życie (tylko) swojej mamy i tak uzasadnia swoją pisarską powinność:

Lubiła kiedyś nam opowiadać różności ze swojego życia. Potem pozapominała. Myliły jej się osoby, imiona; normalne w tym wieku – i na szczęście nie dokuczał jej alzheimer, tylko „zwyczajna” miazdzyca (s. 8).

Biografka-córka niejako zbiera i utrwala dawne historyjki. Po co? Żeby zrozumieć matkę, aby poznać siebie, by pojąć historię: Poznania, Gubina, Lubniewic.

Taka odmiana biografistyki może nam się przydać, kiedy i my zechcemy przedstawić nasze matki oraz naszych ojców.



LECH JAKUBOWSKI (Gorzów)

* * *

łan rzeżuchy
 zakołysał się świątecznie
 sponad równej szcztotki zielonych listków
 wystają złote uszy czekoladowego zajączka
 bawią się z kurczakiem w chowanego
 tylko mi nie potłuczcie jaj
 mruknęła kwoka z łazienki
 malując na czerwono ostatni pazur
 niby nic nadzwyczajnego
 koszyczek
 serwetka richelieu
 gałązka bukszpanu
 dekor w masowym guście
 jak co roku
 dzień przed
 przyszła kartka od ciotki
 że wesołych
 że smacznego
 że całuje
 i takie tam

* * *

idzie zegarek
 idą matka z córką
 idą ciekawe czasy
 idzie artysta
 idą roześmiane dziewczyny
 idzie kominiarz
 ludzie łapią za guziki
 idzie emeryt
 zaklął szpetnie
 same zamki
 zgasło zielone
 stop
 wszyscy czekają
 zegarek idzie
 idą ciekawe czasy
 artysta przebiegł na czerwonym
 idą święta
 ich oddech czuć na karku

* * *

parabolę opanowałem
 jak małpa banany
 rzucam kulka z pary skarpetek
 w korytarzu lotów
 między lampą a paprotką
 kwiat nieraz oberwie po liściach
 niepotrzebnie się wychyla
 lądowanie obiektu
 na brzuchu
 wariant polski
 bez wysuniętego podwozia
 gdzieś w połowie przedpokoju
 nieopodal łazienki
 stamtąd piłka ma bliżej do bramki
 pardon
 skarpetki do pralki
 pracuję na medal u żony
 moje bose stopy
 z zainteresowaniem oglądają telewizję

SŁAWOMIR OSIŃSKI (Szczecin)

KURS ZARZĄDZANIA

Co do zakresu obowiązków człowieka
 i wymaganego do tego przygotowania
 merytorycznego oraz rozpiętość środków
 wyrażania odpowiedzialności za bliźnich
 gdy ciebie pokusy ogarniają żeby
 określić ich realny wkład w twoje życie
 w strukturze uczuć i odruchów kultury
 aż po kwintesencję jaką daje sukces
 chyba że przed planem emerytalnym
 zawał nowotwór lub zwykły wypadek.

POSTULAT

Jestem za jasnością odbioru i dostępem
 za zniesieniem cenzury oraz form nacisku
 żeby jedynym kryterium była wiarygodność
 i słowa moc idealna że aż absolutna.

Wolność wiersza i wersu są prawami człowieka
 niezdatnymi w wypadku gdy na tronie Ubu
 ochrona wizerunku ciemnej metafory
 kryje w sobie demony aliści jest słuszna.

Zastrzegam sobie także swobodę epitetu
 i nieograniczony wybór zakresu porównań
 poddając się bez pokory we słowa występku
 niedomówionemu wyrokowi zniewolonych tekstem.

„TORCIK ŚWIĄTECZNY”

Chrystus na pewno jest Polakiem,
 bo Żydom tutaj trudniej niż w Imperium.
 Wśród namaszczonych ledwie tuzin apostołów
 z karmelu,
 Za to lukrowani faryzeusze zakalcowymi łapskami
 hojnie wrzucają cukierkowe srebrniki
 na tacę piernikowego Judasza.
 Kobiety to głównie nugatowe Marty
 i Marie Magdaleny słodkie, z ptasiego mleczka.
 Przykazanie miłości nie ma tutaj wzięcia,
 ale na szczęście bardzo kochają Matkę,
 toteż po ofierze łatwo Ją będzie powierzyć
 marcepanowym Janom.

JERZY HAJDUGA (Drezdenko)

KWARANTANNY CZAS

(fragment scenariusza)

siedzę w pokoju patrzę na
ściany na kąt
dla siebie

z kąta w kąt tylko
ściany kłócą się
o mnie

przed chwilą okno
odezwało się
ja też

stoję w oknie z widokiem
na moją uliczkę
nikogo

została odległość
nie
podanie ręki

jeszcze mebluję
krzesło przy
stole

JOLANTA KARASIŃSKA (Barlinek)

NIEPEWNOŚĆ

Szukała swojego miejsca
w odległych krajobrazach podobnych do siebie.
Przenikały tymi samymi barwami
w tych samych odcieniach zieleni,
która złośliwie ciemniała w konarach drzew.
Nie umiała sprecyzować kolejnego jutra,
nie była pewna czy tego chciała.
Wiedziała, że przegrywa z czasem.
Tylko światło układało posłuszne cienie
próbowało rozjaśnić myśli.

KĄT WIDZENIA
(kartka walentynkowa)

twoje postrzeganie miłości
wystukiwane łaską
płasa w rytmie zasłyszanej melodii
kupionej za tańszy bilet u kierowcy autobusu
uzależnione od spadku ciśnienia
z powodu deszczu
i jego wzrostu w kolejce do lekarza
odchodzi nocą jak lubieżny sen
bez zgody na cokolwiek.

IRENA ZIELIŃSKA (Gorzów)

SEN O ZARAZIE

*Jest rzeczą rozsądną ukazać
jakiś rodzaj uwięzienia przez inny,
jak ukazać coś, co istnieje rzeczywiście*
Daniel Defoe

Zaraza w mieście
Pachnie bardzo brzydko
Wszystko nabrzmiało strachem
Wszystko zbudowane jest z bakcyli
Zaraza się pleni
grzęźniemy w jej błocie

- Ratunku!
- Prędeż!

Doktor zawołany do nędznego staruszka
jest wielkim bakcylem w okularach
Usiadł
Zwiesił swój osowiały łeb
podobny do starego foksteriera
Z kąta wydobywa się
jęk
następny i jeszcze jeden
kolejny lękliwy dźwięk od środka jaźni
Brzmi jak mechaniczna pralka w szpitalu

Trzeba jeszcze biec do apteki
Otwarta na oścież ma woń
beznadziei, zarazy i morfiny
Prędko – trzeba ratować!
Z serum w sercu prosimy o jeszcze jeden
darowany staruszkowi dzień
Tymczasem
Doktor – Bakcyl zasypia
jak zastygłe wahadło zegara

- Ratunku!
- Prędeż!

Wolniej –
Budzę się z krzykiem



obraz: Ryszard Zdunek

ADAM WIERZBICKI (Dłużek koło Lubka)

ZMYSŁY MARCOWE

Beatrycze

Twoje ciało pachniało wstępującą wiosną. Budziło mnie z letargu po czterech zdecydowanie zbyt długich zimach. Powoli dojrzewało bym w nie wstąpił. Słowa ograniczyliśmy do minimum. W dialogu okazały się

praktycznie zbędne. Zastąpiliśmy je gestami. Mimo wszystko rozumiałem Cię jakbyśmy byli z sobą lat kilkadziesiąt. Kosztowałem twych bezszminkowych ust (żadne do tej pory tak mi nie smakowały).

I tylko ciut...

smaczniejsza okazała się dla mnie kolacja, którą dla nas przygotowałem. I tylko żal... mi było, że tym razem nie miałem sposobności, by z Tobą zjeść śniadanie. Po przebudzeniu całym sobą w twój zapach wiosenny wtulony.

WRESZCIE

Uleczyłaś mnie z zimnych stóp, drżących dłoni i serca łopotów na progu zaśnięcia. Zwracając mi sen co noc wyszarpywany przez windykatorów snów i różnej maści kolekcjonerów sennych marzeń. Nauczyłaś,

że nie wystarczy życzyć sobie wszelkiego dobra, ale codziennie należy dążyć do tego, by te życzenia stawały się rzeczywistością i tego, że nie warto tracić czasu na wzajemne przeproszanie, tylko żyć

tak, by nie dawać sobie powodów do przeprosin. Swym pojawieniem się na mej drodze zwróciłaś mi wiarę, że mogę odzyskać swą godność. Musiałbym więc być totalnym skurwysynem, gdybym świadomie

i z premedytacją gasił papierosy na twoim sercu.

Na ostatniej paczce po marlboro, które wypaliłem, widniał napis. Rzuć palenie, masz dla kogo żyć. Wreszcie. Zbyt długo czekałem na to wreszcie, by tego nie doceniać.

MARIA BORCZ (Gorzów)

PŁOMIENNA MOWA

jak gorejący znicz wytapia
woskową otoczkę

kapie patosem
zastyga w nagrobne wieńce

sztuczne kwiaty
nie więdną
jednak treść
utrwalona na szarfach
nie znajduje oparcia
stawia opór i łopocze

na wietrze historii

PYTANIA

czy forma ubogaca treść
czy maskuje sedno

czy myśli są dziećmi
demonów
czy zmyły tworzą się
same

czy rozgrzebując zgłiszczą
odnajdziesz tamtą miłość

czy człowiek który zabił
swoje serce
jeszcze żyje

TEMIDA

chciała dawać serce
dała ciała

straciła wagę
stała się lekka

sfrunęła
z paragrafów

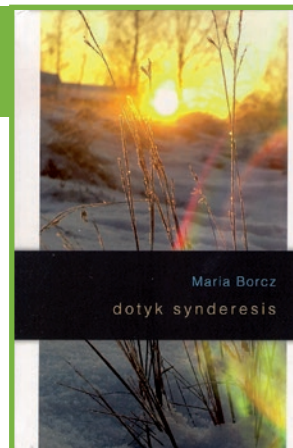
poniosło ją
w siną dal

XIII

trzymasz w ramionach
martwe ciało Syna

Matko pełna miłosierdzia
niechaj żar

Twojej miłości
spopieli moją winę
rozpali serce



Maria Borch
dotyk synderesis

IDĘ POD WIATR

to nic że wschodni morzy
głodem
odzież zamienia
w łachmany
łyż w kryształ

zachodni wyrwa
z korzeniami
przenika do szpiku
klonuje kręgosłupy

północny okrada z etosu
zniewala ramotę
spiętrza globalne fale

idę pod wiatr

choć wlecze na marach
warkocze losów
spętanych obłędem

idę pod wiatr

LUBISZ CZUŁE SŁÓWKA

romantyczne spotkania
płomienne uczucia
upojne noce
śpiew słowika w gaju

posiadasz kołczan
w nim strzały Amora
całe życie polujesz na miłość
lecz nie masz czasu kochać.

POSTAWIONO MOST

zwodzony
by zwodził że łączy

ruchome przęsło
wnosi się ponad

kłania się tylko
wybrańcom

JERZY GAŚIOREK
(GAŚIOR z Gorzowa)

NOWY ROK

nie robię postanowień
nie planuję zbyt naprzód
bo jutro niepewne
pojutrze to już igranie
a planowanie na miesiąc rok
byłoby zuchwałością

świat chwieje się w posadach

* * *

Podnosisz kciuk w górę
mówisz gestem
uśmiecham się
choć mi nie do śmiechu
ale wstaję
robię nowe kroki
w stronę...
kolejnego upadku
tak jest od lat Panie
z nadzieją że może po raz ostatni

SPOTKANIE

Wychodzę z kościoła
ktoś za mną woła:
panie Jurku przepraszam
że nie odebrałem wtedy telefonu
byłem w szpitalu miałem udar
widzi pan jak wolno chodzę

konstatuję przecież on jest
młodszy wysportowany

jak tu nie cieszyć się życiem

ZJAZD

Kolejny zjazd delegatów
poetycznej braci
mam mandat nr 14
mogę wybierać prezesa
dwóch kandydatów
jeden z doświadczeniem
ułożony taktowny sędziwy
drugi znacznie młodszy
za to wielce butny
na szczęście wygrał pierwszy
poeci...?
nie zachwycają urodą taktem
także zachowaniem
o dziwo są płodni
tysiące wierszy w almanachach
tylko czytelników nie stoi

* * *

Słońce nie zachodzi
to ziemia się obraca
ale ta prawda
takiego określenia
od pokoleń nie zmienia
może tylko astronomom
wyraża się poprawnie
to bez znaczenia
jutro kolejny
przekręt ziemi
kolejne przekręty ziemian



PRZED WYBORAMI

Kolejna wyborcza hucpa
nieszczere gęby
na słupach i płotach
zlikwidowane zmarszczki w fotoszopie
wymuszony uśmiech
tysiące ulotek z obietnicami
/całe lasy na to!/
że wkrótce będziemy bogaczami
przychodnie bez kolejek
śluby gejów
in vitro na żądanie
benzyna za bezcen
piwo w kranie
kawior na śniadanie
skrócony dzień pracy
uczciwa emerytura
że ach och...
wszystko się uda
jeden warunek
zagłosuj na mnie

wybacz nie zagłosuję
nie wierzę w twe słowa

SMUTEK

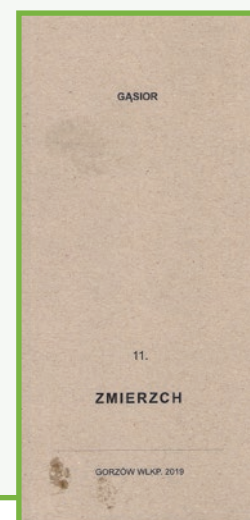
Nie uciekaj od smutku
on jest potrzebny twórcy
wnosi refleksję
sięga głębi
leczy złogi duszy
nie byłoby radości bez smutku
tak jak światła bez mroku
a starości bez lat młodych

NIE CHCIAŁBYM...

Dziwne
nie chciałbym być
w wieku moich wnuków
tyle spraw byłoby mi obcych
nie poznałbym sierpa kosy
lampy naftowej maneża
pióra maczanego w kałamarzu
telefonu na korbkę
wag wahadłowych
dzień do wyrobu chleba
buchającego parowozu
aparatów z kłiszą
i to pełne oczekiwanie
na udaną fotografię
ba nie poznałbym listów
ręcznie pisanych do ukochanej
dziewcząt w sukienkach
z warkoczami
ciał bez tatuaży
ubrań z lnu wełny cajgu
i jeszcze piękna
dzikiej przyrody
ulic i obejść
bez foliowych śmieci
dialogów bez przekleństw
rozmów w cztery oczy
a nie przez tablety
i tylu jeszcze spraw
co cieszyły na co dzień

* * *

Zdumiewa cię
że glob wciąż istnieje
że wciąż bezkarnie żyjesz
jeśli nie zmienisz przyzwyczajęń
nie zahamujesz jego degradacji
wiesz mi nie trzeba ery
zaledwie dekady
by świat unicestwić
zechciej to pojąć
wbij sobie do głowy
i nie miej pretensji do Boga
sam sobie tworzysz
koniec świata



O WNUCZCE, PIĘKNIE I PRZYSZŁOŚCI

GĄSIOR (bo tak podpisuje swoje wiersze), czyli **Jerzy Gąsiorek**, w końcu roku 2019 wydał kolejny tom. Tytuł: „Zmierzch”. Numer kolejny – 11. W idei oraz w formie wizualnej taki sam jak poprzednie. Różni go tylko liczba stron: wcześniejsze zawsze miały po 100, a ten zaledwie 70.

*

Jerzy Gąsiorek pierwszy tom swoich wierszy wydał w 2001 r. Miał wtedy 60 lat i zgodnie z prawdą zatytułował go „Z szuflady wyjęte”. Włączył do niego wiersze pisane przez wiele poprzednich lat, bo dotąd nie miał odwagi ich szerzej pokazywać. W Gorzowie był znany jako plastyk, dyrektor miejskiej galerii, inicjator wielu przedsięwzięć z dziedziny sztuki. Poezja okazała się całkiem nowym polem wyrażania jego myśli i uczuć. Choć tomik wzbudził spore zdziwienie, został bardzo dobrze przyjęty. Potem mniej więcej co dwa lata Gąsiorek ujawniał kolejne zbiory swoich wierszy. Jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Wiersze we wszystkich tomach są autorskim sposobem zapisu spostrzeżeń, refleksji, wrażeń. Nie ma w nich układu w rozdziały, tematy wierszy są wymieszane, poglądy autora jednoznaczne. Tomiki stają się tym samym swoistym pamiętnikiem. Gdy Gąsiorek był młodszy, więcej było w jego wierszach radości. W miarę upływu lat coraz bardziej dominuje spokój i pogodzenie się z przemijaniem. Coraz więcej jest odniesień do ludzkich serc i do Boga. Stałym motywem jest zachwyt dla przyrody, szczególnie widoków oglądanych z wieży w Santoku, gdzie autor ma swoją pracownię i z góry patrzy na spotkanie Warty z Notecią.

W ostatnich tomikach coraz częściej z czułością pisze o wnuczkach. Najnowszy zadedykował właśnie wnukom. Jest tu wiersz dla najstarszej, już osiemnastoletniej Agaty, a także wiersz napisany „Na urodziny Alicji”:

*Obyś nie była tą / z krainy czarów / ale prawdziwą / stąpającą
po rosie / chwytającą wiatr we włosy / zrywającą jagody w lesie
a z drzew owoce / byś dostrzegła drugiego człowieka / umiała
z nim rozmawiać / byś była zdrowa radosna / kochana / i umiała
kochać / słońce niech będzie / Twoim przyjacielem*

Tak mało, a tak wiele: przyroda, drugi człowiek i słońce. Także metaforycznie.

Stałym tematem wierszy Gąsiorka jest piękno. Widzi je w dziełach sztuki, ale przede wszystkim urzeka go to najprostsze, zawarte w przyrodzie. Z zachwytem patrzy na Wartę w Santoku, na wąwozy i pagórki, na kwitnące krzewy bzu, które okalają jego wieżę. W najnowszym tomie w wierszu zatytułowanym „Piękno” wylicza różne jego formy, ale i jeden podstawowy brak:

*najłatwiej mi je dostrzec / na ukwieconych łąkach / w poezji
obrazów / dźwiękach fortepianu / w obłokach i płatkach / pod ko-
pułą nieba / coraz trudniej / znajduję je w człowieku / choć wyszedł
przed chwilą / z salonu piękności*

Częstym tematem wierszy Gąsiorka jest przeszłość. Ta wielka, czyli wojna i jej konsekwencje, a także ta mała wyrażająca się w przedmiotach, których już nie używamy, w zabawach dzieci, których współczesne nie znają, w ciszy, jakiej sobie nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić. Coraz częściej myśli o też przyszłości, tyle że bez optymizmu. Jako ostatni w najnowszym tomie Gąsiorek postawił wiersz bez tytułu.

*Dobiega końca / kolejny rok / świat jeszcze się ostał / a ja w nim
nie przysypały go śmieci / nie zatopiły / topniejące lodowce
nie spopielili pożary / nie zgładziły atomowe bomby //
jak długo jeszcze*

Gąsiorek, „Zmierzch”, wyd. Drukarnia Sonar, Gorzów Wlkp. 2019, 70 s.

NIE ZAGŁUSZYSZ MUZYKĄ DYSKOTEKI...

MARIA BORCZ pisze wiersze od dawna. Najpierw nieśmiało, jako teksty piosenek, które wykonywali jej uczniowie, potem fraszki i wierszyki satyryczne. Pierwszy tomik odważyła się pokazać w 2007 roku. Od tej pory gorzowska poetka wydała już 12 tomików. Coraz to bardziej smutnych.

*

Wydany w 2018 roku tom pt. „W hotelarni świata” wypełniały wiersze o pustce, o beznadziei, alienacji, bezradności. Świat pokazany przez Marię Borcz był naznaczony brakiem wartości. Ludzie nie mieli domu, korzeni ani tożsamości. Żyli pozorami, powierzchownie, bez przeżyć, bez ducha.

W jego omówieniu napisałam: Maria Borcz nie widzi nawet światełka w tunelu, nie widzi wyjścia z tej sytuacji. Ba, ona nawet się nie buntuje, nie czyni wyrzutów, nie poucza, jak to robiła we wcześniejszych wierszach. Teraz zda się już nie mieć nadziei, że ludzkość się zmieni. Wierzę jednak, że Maria Borcz niebawem wyjdzie ze stanu totalnego pesymizmu. Czekam na następny tom jej wierszy.

*

Nie musiałam długo czekać. Z datą 2019 roku ukazał się tom „Dyktando synderesis” jakże odmienny w tonie. Zaczniemy od nieznanego (mnie, ale także polskiej wersji Wikipedii) słowa synderesis. Wyjaśnienie znajduje się w angielskiej wersji Wikipedii, a w tłumaczeniu na język polski to: „Synderesis lub synteza, w scholastycznej filozofii moralnej jest naturalną zdolnością lub dyspozycją do intuicyjnego zrozumienia uniwersalnych pierwszych zasad ludzkiego działania”.

Na okładce książki jest jeszcze uzupełnienie: „Ma ją każdy człowiek, jest zawsze prawidłowa i niezniszczalna, (św. Tomasz z Akwinu).

Maria Borcz, w latach pracy zawodowej katechetka, często i chętnie sięga do Biblii, do postaci i miejsc związanych z religią katolicką, aby zderzać naszą rzeczywistość z symbolami i wzorami pochodzącymi z tego prądu.

*

Zostawmy na boku spory, czy dla wszystkich ludzi na całym świecie te same prawa są „zawsze prawidłowe i niezniszczalne”. Dla nas, ludzi wychowanych w kulturze śródziemnomorskiej, niezależnie od wyznania, istnieją takie prawdy, których:

*nie zagłuszyś
muzyką dyskoteki [...]
możesz je
nieco znieczulić
z kąta
w kąt przestawić
głos wróci echem
z Kamiennych Tablic („Sumienie”).*

Jesteśmy podatni na modę, na tempo życia, wzorce z mass mediów, tolerancję, poprawność polityczną lub obyczajową i jeszcze parę innych obowiązujących tendencji. Ale jak każdy z przejawów współczesności ma się do tego pierwotnego wzorca? Do tego synderesis, które jest w nas i zawsze pomoże zweryfikować nasze zachowania?

Dalsze pytania już z wiersza:

*czy forma ubogaca treść
czy maskuje sedno
czy myśli są dziećmi demonów
czy zmyły tworzą się same
czy rozgrzebując zgłiszczą
odnajdziesz tamtą miłość
czy człowiek który zabił
swoje serce
jeszcze żyje („Pytania”).*

*

Maria Borcz pokazuje, jak degradujemy najwyższe wartości. Biblijna arka była niegdyś symbolem obecności Boga, w niej przechowy-



wano tablice z tekstem Dekalogu, czyli zbiór obowiązujących praw. A dziś – zdaniem autorki – świat widzi w niej tylko artefakt zbędny do wędrówki w wierze.

*Jesteśmy uzależnieni od konsumpcji / jak powietrze od tleniu.
Dławimy się tym, co materialne, co można pokazać, czym się pochwalić. Ale w miarę narastania / apetytu na życie / tracimy wolność. Natomiast ślepa tolerancja / zakaża zmysły / infekuje życiodajne źródła.*

Można mnożyć przykłady tego rodzaju dewiacji, które rodzą zagubienie człowieka. Nawet wiedza nie daje szansy na osiągnięcie równowagi, bo

*wznosi się wysoko
ponad żabią perspektywę
w rozległej panoramie
z pola widzenia traci
człowieka („Wiedza”).*

*

Jak wyjść z tego labiryntu zbudowanego przez nas samych?

Maria Borcz wskazuje dwie drogi, które ostatecznie razem się spajają. Pierwsza to właśnie pierwotne synderesis, tkwiące w duszy każdego człowieka elementarne przekonanie, co jest dobre, a co złe. Druga droga to Bóg, a wiara w niego także zawsze wskaże właściwą drogę.

*Samosiejkami konsumpcji
zarosła droga do Ciebie [...] w próżni duchowej głuszy
potykam się upadam
nie mam siły przezwyciężyć
własnej słabości (III).*

Ważna jest także miłość do drugiego człowieka, dawanie mu nadziei, podtrzymywanie na duchu. Takie relacje działają w obie strony.

*

Choć w wierszach Marii Borcz dużo Boga i Biblii, nie można jej poezji określić jako religijnej. Poetkę interesuje współczesny człowiek i rozliczne manowce, na które jest narażony. Tytułowy „Dotyk synderesis” może uleczyć wszystkie rozterki. Ale tylko wtedy, gdy będziemy chcieli się w niego wsłuchać.

Swoje podstawowe pragnienie, jakże humanitarne, ale dalekie od religii, autorka sprecyzowała już w pierwszym wierszu tomiku:

*Pragnę
nabrać dystansu do tych
co dziurawym czerpakiem
przelewają ocean
na grzbietach fal
dopłynąć tam gdzie wiatr
wymiana nieobyczajność
jak ptak wzlecieć w powietrze
nucić światu odwieczną pieśń
nie dać się wciągnąć topieli („Pragnę”).*

Maria Borcz, „Dotyk synderesis”, wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2019, 52 s.

EFEKT PISANIA LISTÓW

Na swojej stronie internetowej książd poeta z Drezdenka – **JERZY HAJDUGA** zaprasza do pisania listów do niego i podaje pełny adres do korespondencji. Jakże to dziś rzadkie zjawisko! Obok stawia także adres mejlowy, pewnie żeby było łatwiej. Ale woli tradycyjne listy, bo tęskni „za starą liturgią listów, począwszy od spojrzenia na skrzynkę pocztową”, aż do szelestu otwieranej koperty.

ALINA BERNADETTA JAGIEŁŁOWICZ z Wrocławia pierwszy wiersz Jerzego Hajdugi przeczytała w internecie, ale korespondencję z poetą nawiązała – tak myślę – właśnie przez wysłanie listu za pośrednictwem poczty. Potem wielokrotnie wymieniali między sobą listy, ale – zapewne – już przez internet, bo to szybciej i łatwiej. Przesyłali sobie nowe wiersze, czytali je i tak bardzo rozumieli się, że wzajemnie odpowiadali także wierszami.

Tak zrodził się tom poetycki podpisany przez **Jerzego Hajdugę i Alinę Bernadettę Jagiełłowicz**. Nadali mu tytuł „Listy na stół”.

*

Jerzy Hajduga jest autorem 19 wcześniej wydanych tomików poezji, ten jest jego 20. Na dwie inne książki złożyły się felietony pisane wcześniej do prasy. Wszystkie wiersze księdza Jerzego są bardzo krótkie. „Jak okruszki codzienności zapisane kilkoma słowami – pisał Ludwik Lipnicki – ale każde słowo ma swoją wagę. Tak jak słowo, tak i każdy wers jest ważny, nieprzypadkowy”.

Kiedyś książd Hajduga żartował, że pozostawia tylko te słowa, które absolutnie nie dają się wyrzucić. Taka oszczędność słów powoduje, że pod te, które pozostały, każdy czytelnik może podłożyć nieco inną treść, uzupełnić myśl autora swoim doświadczeniem, swoimi doznaniem i przeżyciami.

Właśnie tak zrobiła Alina Bernadetta Jagiełłowicz. Krótki tekst wiersza Jerzego Hajdugi nadbudowała swoim wierszem. A potem on wybierał jakieś sformułowanie z wiersza pani Aliny i pisał następny. Ta wzajemna inspiracja jest widoczna nawet w druku: część wiersza wydrukowana jest prostą czcionką, a część kursywą.

Poniżej kilka wierszy Jerzego Hajdugi z tego tomu:

*jesień w złocie
pastele skręcają liść
nitka pajęczka*

*powalony czuję
jak bez koloru
unosi mnie jesienny wiatr*

*mój przyjacielu
słońce życia za wolno
gaśnie coś dodać*

*coraz ciszej
myślimy
o sobie*

„Wyłożyć karty na stół” to zwrot frazeologiczny oznaczający ujawnienie czegoś, nawet odkrycie jakiejś tajemnicy. Tytuł tomu „Listy na stół” jest parafrazą tego powiedzenia. Jerzy Hajduga i Alina Bernadetta Jagiełłowicz nie grają w karty, a tylko wysyłają do siebie listy. Tu autorzy ujawniają siebie, odkrywają swoje tajemnice. Ich wzajemna korespondencja to trochę literacka zabawa, ale przy tym głęboka prawda.

Jerzy Hajduga i Alina Bernadetta Jagiełłowicz, „Listy na stół”, wyd. Akademia Pióra, Wrocław 2019, 56 s.



ZWOLNIJ! ZOBACZ!

WŁODZIMIERZ KORSAK zmarł w 1973 r. a dopiero teraz ukazują się napisane przez niego książki. Wyciąga je z archiwów, opracowuje i znajduje wydawców gorący wielbiciel pisarza – Henryk Leśniak. W 2017 r. przedstawił zbiór opowieści pt. „Puszcza”, a teraz piękny album z obszernym tekstem Korsaka pt. „PIĘKNO W LESIE”.

*

Włodzimierz Korsak od 1945 r. związany był z Gorzowem. Ten pisarz, przyrodnik i podróżnik urodził się w polskiej rodzinie w 1886 r. w ówczesnej guberni witebskiej. Wzrastał w otoczeniu przyrody jeszcze nienaruszonej przez ingerencję człowieka. W młodości był zapalonym myśliwym, potem strzelbę zamienił na aparat fotograficzny i na kliszy rejestrował faunę i florę. Był jednym z pierwszych w Polsce świadomych obrońców przyrody, uważał, że należy ją chronić przed ludźmi.

Napisał wiele książek, przede wszystkim dla propagowania praw przyrody. Ich adresatami byli myśliwi. Ale także pisał powieści, opowiadania, gawędy. Zachwycało go piękno przyrody.

*

Tekst Włodzimierza Korsaka w albumie podzielony jest na rozdziały: wprowadzający z tytułem „Piękno w lesie”, a potem kolejno: „Wiosna”, „Lato”, „Jesień” i „Zima”. Całość dopełniają rozdziały przygotowane przez wydawców: przedmowa, posłowie, nota biograficzna, opisy zdjęć, podziękowania.

*

Czy umiemy widzieć piękno? Chyba tak, bo coś albo nam się podoba, albo nie. Ale czy umiemy mówić, pisać, a nawet tylko czytać o pięknie? Raczej nie. Opisy przyrody w powieściach z zasady są pomijane. A tu są same opisy przyrody.

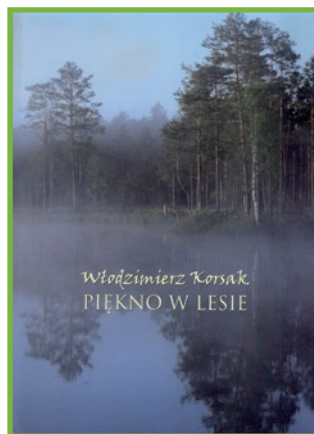
Mimo że Włodzimierz Korsak należy do dawnego pokolenia pisarzy, jego opisy przyrody są ogromnie sensualne, czytelnik nie tylko widzi, ale także czuje i słyszy przyrodę. Tylko trzeba ją umieć obserwować.

Korsak radzi: *Siądźmy koło wykrotu, oparci o zmurszały pień i przykładając do ust kościany wabik zwabmy wysokim tonem gwizdu gospodarza uroczyska, skrytego i tajemniczego jarząbka. Piękny to ptak...* I płynie opowieść o jarząbku, który właśnie przyfrunął. Kto ze współczesnych czytelników rozpozna jarząbka? Kto umie go zwabić?

Albo: *W czasie śnieżnej zawiei nie trzeba chować nosa w kołnierz, a oczu pod czapkę, nie trzeba odwracać się plecami i w skurczonej pozycji oczekiwać rychłego powrotu pod ciepły dach. Przeciwnie, należy odwrócić się otwartą twarzą ku temu potężnemu pięknu, patrzeć i widzieć, rozumieć i cieszyć się, wchłaniając w siebie wszystkie szczegóły obrazów i sączyć je w głąb swojej duszy. A jak przepięknie wyglądają drzewa oblepione białym śniegiem...*

Obawiam się, że ani Korsak, ani ja nie przekonamy czytelników, aby w czasie zawiei wychodzili z domów w celu podziwiania przyrody. My lubimy wygodę i ciepło.

Natomiast bardzo polecam inny sposób poznania piękna przyrody. Korsak proponuje, by zerwać liście drzew, krzewów i drobnych roślin i w pełnym świetle oglądać je przez szkło powiększające. Ujrzymy wówczas jak na dłoni misterne użyl-



kowanie liścia, cudowny rysunek drobnej siatki, przejrzystych naczyń. Zadziwi nas i zachwyci nieskończona różnorodność budowy poszczególnych gatunków roślin. Znajdziemy tu przepiękne wzory ornamentów, najwymyślniejsze pomysły kojarzeń i kontrastów barw, prześliczne rysunki o ciekawej kompozycji. Zdaniem Korsaka najładniejsze są liście osiki, czarnej olchy i czeremchy. Tylko czy będziemy umieli znaleźć te drzewa i krzewy?

*

Pierwszą wersję książki Włodzimierz Korsak napisał przed wojną, ale tamten rękopis chyba nie przetrwał zawieruchy. Rękopis nowego, napisanego po wojnie „Piękna w lesie” znajduje się w zbiorach specjalnych Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Prawa do dysponowania dorobkiem Włodzimierza Korsaka ma jego potomek Eugeniusz Dobaczewski. Ażeby książka mogła się ukazać, potrzebny był jeszcze fachowy wydawca oraz ktoś, kto ją sfinansuje. Odpowiedzieli: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta jako merytoryczny wydawca oraz Klub Kolekcjonera Kultury Łowieckiej PZŁ, Oddział im. Włodzimierza Korsaka w Gorzowie i Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego także w Gorzowie. Te ostatnie jednostki projekt wsparły finansowo. Nad przygotowaniem całości czuwał nieoceniony Henryk Leśniak, który wzbogacił album przepięknymi zdjęciami.

*

Korsak za rękę prowadzi czytelnika w różnych porach roku po rozmaitych typach lasu, po polanach i młodnikach, po jeziorkach i rzeczkach przez las płynących itd. A Henryk Leśniak na zdjęciach pokazuje takie miejsca, aby czytelnik na własne oczy je zobaczył. Włodzimierz Korsak także zakładał, że ta książka będzie dopełniona zdjęciami, tyle że w jego czasach zdjęcia były wyłącznie czarno-białe, a ówczesna technika nie pozwalała na takie efekty, jakie oferuje współczesna fotografia. Do albumu włączono zdjęcia wykonane przez autora tekstu, ale najwięcej jest kolorowych, bardzo dobrych technicznie wykonanych przez Henryka Leśniaka oraz kilku innych fotografów.

*

W innej książce Korsak wspominał: *Szedłem przez las zwykłym krokiem: powoli...*

Może ta książka uświadomi nam, że aby widzieć piękno (nie tylko lasu), trzeba iść powoli i z uwagą obserwować świat. Wiecznie się spiesząc, gubimy to, co najważniejsze.

Włodzimierz Korsak, „Piękno w lesie”, na podstawie zachowanych rękopisów opracował Henryk Leśniak, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Klub Kolekcjonera Kultury Łowieckiej PZŁ, Oddział im. Włodzimierza Korsaka w Gorzowie i Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Gorzowie, rys. Włodzimierz Korsak, zdjęcia Henryk Leśniak, Włodzimierz Korsak i inni, Gorzów Wlkp. 2019, 152 s.

NIEBIESKI MIÓD

Po lekturze powieści „Wskrzesina” wiem na pewno jedno: autor Artur Boratczuk zna się na pszczelarstwie. A reszta zależy od interpretacji czytelnika: jego poddawaniu się lub nie realizmowi magicznemu, jego akceptacji – lub nie – dla pomysłów niezwykłych, jego uznawaniu – lub nie – psychologicznych przemian bohaterów, jego stosunku do Boga albo – szerzej – do znaczenia religii.

*

Artur Boratczuk w latach 90. pracował w redakcji tygodnika „Ziemia Gorzowska”, był stypendystą Prezydenta Miasta, miał zamiar osiedlić się w Gorzowie, ale robota przestała mu się podobać, więc wrócił w rodzinne strony, czyli do Chwarszczan koło Kostrzyna, obecnie w województwie zachodniopomorskim. Długą spowiedź autora o jego przygodach z różnymi profesjami, a przede wszystkim o niezmiennym zamiarze pisania powieści przeczytać można na stronie <http://arturboratczuk.pl/witaj-swiecie/>. Rozpoczyna ją tak:

Nie pamiętam, skąd mi się to wzięło, ale od dzieciństwa chciałem pisać. Marzyłem o tworzeniu powieści-opowieści, które wypełnią moje życie, nadadzą mu sens i pozwolą innym odkryć sensy ich własnego życia. Po ćwierćwieczu zmagania ze Słowem jestem w tej komfortowej sytuacji, że w dziedzinie pisarstwa wszystko jeszcze przede mną.

Jego największym dotychczasowym sukcesem – także związanym z Gorzowem – była pierwsza nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego w 1995 r.

*

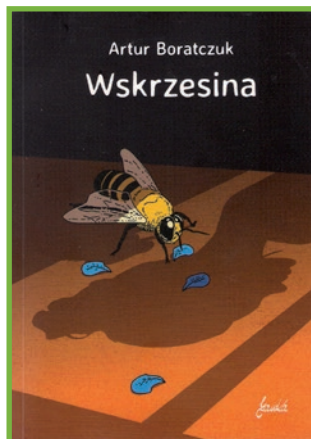
W lutym 2020 r. w wydawnictwie JanKa z Pruszkowa ukazała się jego pierwsza powieść pt. „Wskrzesina”. Akcja dzieje się w zachodniej Polsce, w pobliżu Kostrzyna (ta nazwa pada kilka razy), tak blisko granicy, że poza Radiem Maryja nie docierają tu polskie stacje radiowe, za to niemieckich jest sporo. Miejscowość nazywa się Fraudencja, jakby dla podkreślenia niemieckiego pochodzenia, ale i dominacji kobiet. Jest w tej – nie wiadomo wsi czy w miasteczku kościół, którego proboszcz swoje życie oddał odnowieniu zabytkowych malunków na ścianach wewnątrz. Wypisz-wymaluj Chwarszczany, gdzie znajduje się kaplica templariuszy z 1280 r., a wewnątrz niej na całej długości murów biegnie świeżo odnowiony fryz o wysokości 2,75 m przedstawiający rozmaitych świętych. Ten bardzo kolorowy fryz łatwo może obudzić wyobraźnię. Dużo malunków z niego weszło do powieści, jednak nie święci są najważniejsi, a przede wszystkim kwiaty, szczególnie niebieskie.

*

Ja i parę innych osób wiemy o związkach Artura Boratczuka z Chwarszczanami, ale w książce autor tym się nie chwali. Równie dobrze czytelnik może odebrać kościelne malowidła jako fantazję autora.

I tak jest na każdym kroku. Postać, zdarzenie, motyw zaczynają się jako absolutnie realne, wyrastające niemal z dnia dzisiejszego, aby po dalszej lekturze przemienić się w fantazję, wyobrażenie, tęsknotę może bohatera, ale najpewniej samego autora.

Tego rodzaju zabieg nazwany został realizmem magicznym. Jego cechą szczególną jest odwoływanie się do wyobraźni, operowanie tym co dziwne, niezwykle, zaskakujące, nawiązywanie do legend i mitów oraz lokalnych tradycji. Najbardziej rozwinął się w literaturze iberoamerykańskiej, bo narodził z po-



łudniowej Ameryki na co dzień żyją w świecie duchów i mitów. Do symbolu urosło Macondo z powieści Gabriela Marqueza „Sto lat samotności”. Czy Fraudencja osiągnie wielkość Macondo – co najmniej w polskiej literaturze – nie wiem. Ale życzę jej tego.

*

„Wskrzesina” to nowe słowo. Jego rdzeniem jest „wskrzeszenie”, czyli przywrócenie do życia. A tym co w powieści pobudza wskrzeszenie, jest miód. Szczególny, bo niebieski. Znowu prawda: miód jest bardzo zdrowy, regeneruje ciało i duszę, ale i nieprawda: nie ma niebieskiego miodu. Autor w końcu powieści tłumaczy, skąd się wziął ten oryginalny kolor, jednak moim zdaniem jest

to zbędne. Wystarczyło skojarzenie niebieskiego miodu z niebieskimi kwiatami na malowidłach z kościoła, bo taki związek bardziej uruchamia wyobraźnię, a uzasadnienie opowiedziane przez autora po prostu spłaszcza poetycki zabieg.

To jest moje zdanie, ale innemu czytelnikowi może bardziej odpowiadać wersja autorska. I tak będzie na wielu płaszczyznach, jakie oferuje „Wskrzesina”: jednym się spodoba, innym mniej, jeszcze innych całkowicie zniechęca.

*

Na skrzydełku książki Artur Boratczuk wyznał, że napisał powieść, bo „musiałem określić swój stosunek do Boga”. Dużo Boga jest w „Wskrzesinie”, jednak to wcale nie jest religijna lektura. Proboszcz ma 103 lata, ale kocha przede wszystkim konie i kościelne malowidła. Ideą silnej wiary w Boga namaszczonej została jedna z bohaterek, która skończyła matematykę, teraz jest u księdza gospodynią, pisze mu kazania i bardzo chce odprawiać msze. Ponieważ w naszych warunkach nie jest to możliwe, zakochany w niej chłopak postanawia wybudować świątynię wielkością i urodą przewyższającą wszystkie dotychczasowe. A niebieski miód będzie tam pełnił taką funkcję opłatka w Komunii Świętej.

Czy taki świat zaistnieje, przeczytajcie w powieści.

*

Przyznaję, w wielu kwestiach mogłabym się zgodzić z autorem, równie wielu jego pomysłów nie akceptuję, ale na pewno lektura „Wskrzesiny” rodzi chęć do takiej dyskusji. I do myślenia. Niczego nie zamyka, a wszystko otwiera.

ARTUR BORATCZUK

urodzony w roku 1972. W drugiej połowie lat 90. XX w. pracował jako dziennikarz w tygodniku „Ziemia Gorzowska” oraz w „TK Tygodniku Kostrzyńskim”. W roku 1995 jego opowiadanie „Ja jestem wiatrem, ty liściem” zdobyło pierwszą nagrodę w gorzowskim konkursie literackim im. Zdzisława Morawskiego.

„Ballada o człowieku z końca pochodni”, krótka proza osnuta wokół losów Szymona Giętego, zdobyła wyróżnienie w konkursie im. Tadeusza Micińskiego w Łodzi (ukazała się w kwartalniku „Metafora”, nr 33/34 z 1998 r.). Boratczuk był też stypendystą prezydenta Gorzowa. Obecnie mieszka w Chwarszczanach koło Kostrzyna nad Odrą, gdzie zajmuje się produkcją uli dla pszczół. Na początku lutego 2020 r. nakładem wydawnictwa JanKa ukazała się jego powieść pt. „Wskrzesina”, której akcja rozgrywa się w fikcyjnej Fraudencji na pograniczu woj. lubuskiego i zachodniopomorskiego.



[...] Księżyc eksplodował i rozleciał się na miliardy drobnych kawałeczków, które opadały jak świecący śnieg i wnikały we wszystko, z czym się zetknęły, rozświetlając od wewnątrz każdy przedmiot. Przez chwilę cała rzeczywistość przypominała wnętrze buchającego żarem pieca hutniczego, z tą różnicą, że nie czuło się gorąca. Światło nie parzyło i nie raziło oczu. W kuchni, gdzie Serpina, trzymając łyżeczkę z niebieskim miodem, tkwił wpatrzony w okno, panowało przyjemne wieczorne orzeźwienie, choć meble, książki, ściany i sufit stały się prawie nierozróżnialne, bo ich blask zlewał się w jedno. Wydawało się, że wszystko, także przestrzeń, zbudowane jest z czystego światła i muzyki, bo dało się słyszeć ciche brzmienie kilku harmonijnie zestrojonych akordów, choć nie można było zlokalizować źródeł, z których pochodzą.

Serpina uniół prawą rękę, przekonany, że i ona będzie światłem, lecz jego ręka zachowała swoją zwykłą cielesność. Przyglądał się przez chwilę pomarszczonej skórze, potem przyłożył dłoń do oczu, jakby chciał się upewnić, że naprawdę istnieje. Tak, istniała, nie różniła się niczym od jego normalnej, zwykłej ręki. Także lewa oraz nogi były takie jak zawsze. Zdał sobie też sprawę, że gdy wykonywał ruchy – dźwięki wibrowały. Uniół prawą dłoń na wysokość oczu i przesunął ją w powietrzu, jakby przecierał szybę. Jedne dźwięki zamierały, inne stawały się intensywniejsze. Muzyka nie miała rytmu ani melodii, ale działała na niego kojąco. Ból kręgosłupa, niedowład w nogach, świadomość starości – wszystko zniknęło. Równocześnie światło zaczęło się różnicować. W jednych miejscach pozostawało intensywniejsze i bardziej zagęszczone, w innych jakby słabło. Z blasku znów wyłaniał się świat, jednak jego kontury były płynne. Rzeka stała się jasną smugą, przecinającą słabiej jarzące się płaszczyzny pól i łąk, na których to wyłaniały się, to nikły gorejące światłem bez ciepła drzewa.

Wyszedł przed dom i słuchał, jak gra rzeka, pola, Fraudencja, gwiazdy, cały Kosmos. Zamknął oczy, bo uświadomił sobie, że same te dźwięki wystarczą mu do orientacji i wyobrażenia sobie wszystkiego naokoło, bliżej, dalej i nieskończenie odległe. Ale dosłyszał nagle coś nieznanego – niebieskiego – i gdy otworzył oczy, rzeczywiście dostrzegł nad sobą grubą niebieską linię. Wyglądała jak ślad skroplin z samolotu, ale była bardziej zwarta. Drżała, jakby poruszał nią wiatr, choć panowała całkowita flauta. Ciągnęła się od pól na wzgórzach i kotwiczyla w jego sadzie. Obszedł dom i zrozumiał, że tworzą ją pszczoły, które z pasieki latają na wzgórze i z powrotem. Podobnie jak on zachowały swoją cielesność, nie przepajało ich wewnętrzne światło. Poruszały się zbliżonym torem w obu kierunkach, jak w pęku przewodów. Jedne lądowały na mostku, a inne wychodziły ze środka i zrywały się do lotu, włączając się do powietrznej apistrady. Uklęknął przy jednym z uli i przyglądał się pszczołom. Wszystkie były skąpane w niebieskim nektarze. Niebieskimi kropelkami poznaczony był mostek ula. Dotknął go palcem i zbliżył palec do ust. Poczł ten sam smak, którym przeniknięty był niebieski miód, jaki dopiero co wywirował z czterech plastrów i którego kilka łyżeczek zjadł.

Brzęczenie pszczoł, przypominające dźwięk, jaki w mroźny dzień wydają przewody wysokiego napięcia, zagłuszało świetlną muzykę. Poszedł za linią rozciągniętą w powietrzu, chcąc zobaczyć kwiaty, które dają ten niebieski nektar, ale po stu metrach zatrzymała go rzeka. Pszczoły nie musiały się przejmować rzeką, leciały sobie nad nią ku wzgórzom, lecz Serpina stanął bezradnie na brzegu. Do mostu miał do-

bre pół kilometra, musiał tam dotrzeć i drugim brzegiem powrócić do linii pszczoł. Zbliżył się jednak do samej wody, która istniała tylko jako świetlista potoczystość. Włożył do niej rękę. Nie czuł ani wilgoci, ani nurtu. Jakżeż światło mogłoby być mokre, pomyślał. Zanurzył się w blasku po kolana i dalej, po pas. Wiedział, że rzeka w tym miejscu sięgać może mu najwyżej po pachy, ale nawet gdyby była tak głęboka, że kryłaby go całego, nie bał się, bo doszedł właśnie do środka i ugiął nogi, zanurzając się z głową. Był jakby zamknięty w świecącym płynnym bursztynie. Rozglądał się. Widział odrobinę bardziej spoiste światło leżących na dnie kamieni. Kucając, wstrzymał odruchowo oddech, ale zaraz wypuścił powietrze z płuc i odetchnął. Oddychało mu się tak samo jak nad powierzchnią. Wychylił się z nurtu i jak dziecko rozpryskiwał rękoma otaczającą go iluminację, rzucał się w nią całym ciałem, nurkując i wyłaniając się z powrotem na powierzchnię. Refleksy pokrywały go na chwilę i skapywały, pozostawiając gdzieś tam plamki, które po chwili odparowywały, łącząc się z przestrzenią. Gdy nacieszył się już tymi niezwykłymi zjawiskami, wyszedł na brzeg i ruszył dalej.

Pola pokrywały wysokie na prawie dwa metry rośliny. Nie emanowały światłem, były całkowicie spoiste i materialne jak jego ciało. Miały grube łodygi z delikatnymi, jasnymi włoskami i kwiaty podobne do róży. Od zwykłych roślin różniły się jednak tym, że były całe niebieskie. Liście, kwiaty, łodyga i pędy mieniły się różnymi odcieniami niebieskiego, od jasnobłękitnych płatków kwiatowych po ciemnogrnatowe żyłki. Kwiaty roztaczały oszałamiający zapach i Serpina zdał sobie sprawę, że był to jedyny zapach w tej świetlistej rzeczywistości, wszystkie inne zniknęły na samym początku, gdy tylko odłamki księżyca wsiądkły w ziemię. Serpina nie czuł nawet zapachu własnego potu, choć czoło miał mokre, a koszula lepiała mu się do skóry. Pachniały tylko te niebieskie kwiaty. Ich zapachu nie był w stanie porównać z niczym mu znanym, chyba że z najpiękniejszymi snami, jakie opowiadała mu żona – takimi, które zdarzały się jej raz na kilka lat, i nigdy ich nie zapominała, dawały jej poczucie siły, czystości i spokoju. Zwabione tym zapachem pszczoły nurkowały w niebieskich kielichach, wysysały swoimi trąbkami niebieski nektar i startowały natychmiast w stronę pasieki, by jak najszybciej wrócić i pobrać nowy ładunek.

Wszedł między kwiaty. Nie rosły gęsto, widział między nimi polany i luźniejsze przestrzenie. Te kwiaty już kiedyś widział. Przypominał sobie freski, które odsłonił w kościele opadły tynk. Był na mszy, gdy to się zdarzyło. Na tych kościelnych malowidłach uwieczniono właśnie te kwiaty. Oglądał je teraz w rzeczywistości, bo nic nie było nigdy dla niego bardziej rzeczywiste, z każdej strony. Znajdowały się w różnych fazach wegetacji. Jedne kwitły, na innych dopiero zawiązywały się pączki kwiatowe, część przekwitła, opadały z nich płatki, niektóre rodziły już nasiona, zebrane w pęczkach po trzy sztuki. Każde trzymało się łodygi krótkim ogonkiem, od którego odłamywały się w końcu pod własnym ciężarem lub przy poruszeniu łodygą. Podstawił dłoń pod skupisko nasion i trącił roślinę. Zaciśnął garść. Oglądał uważnie to, co spadło na jego dłoń – małe blaszki–nie–blaszki, płytki–nie–płytki, które doskonale znał. Obracał jedną w palcach. Gdzie jest? Czy to raj, niebo? Jeśli tak, gdzie są dusze innych ludzi, Anny, jego rodziców?

Jak my, redaktorzy czy jurorzy konkursów, dorośli poeci, znawcy poezji czy w ogóle literaturoznawcy, mamy czy możemy oceniać poetyckie próby nastolatków wstępujących na stromą ścieżkę wiodącą na Parnas, kiedy świat naszego pokolenia zrobił potrójne salto i wylądował w XXI wieku nie na stopach, a na głowie, niestety? Dziś na wspomnianą siedzibę Apollina i jego orszaku muz (2457 m n.p.m) na piechotę wspinają się jedynie posunięci w latach debiutanci. Młodzi poeci w internecie wyczaili wyciąg krzeselkowy (!) – łatwiejszy i szybszy sposób osiągnięcia szczytu, bo obecnie Parnas jest ośrodkiem sportów zimowych z rozbudowaną i rozległą bazą turystyczną. I całą swą masą prądo góry jak Chińczycy po złote olimpijskie medale. Zagroza to literaturze pięknej czy masowo ją upowszechnia? Na dwoje babka by wróżyła, gdyby nie grafomania...

Zanim świat mojego, zstępującego już, pokolenia nie stanął na głowie, poetom-pisarzom nie było łatwo nieść pod strzechy swoje utwory. Na tomik wierszy czy powieść, z co najmniej dwiema polecającymi recenzjami uznanych krytyków, czekało się u wydawcy nierzadko kilka lat. Ale autor dostawał honorarium. Dziś, po medialnej rewolucji, czas na wydanie książki skrócił się do kilku tygodni. Mnóstwo tzw. e-wydawnictw oferuje e-poetom e-booki, a nawet ich replikę drukowaną. I nie potrzeba ani jednej recenzji uznanego krytyka, tylko pieniędzy autora, który pokrywa koszty wydania wg kalkulatora zamieszczonego na stronie wydawcy. Przed II wojną wydawano książki „nakładem własnym”, ale ich autorów powszechnie uważano za grafomanów.

Ilu jest w naszym kraju zwykłych i tych e-poetów? Czy ktoś zdoła ich policzyć, ogarnąć? Mniej złośliwi rokuja, że na 10 obywateli jest przynajmniej dwóch piszących wiersze. To by znaczyło u nas około sześciu milionów, a na świecie sporo ponad miliard. Dla historyków literatury poetów jest znacznie mniej – na świecie może kilka tysięcy. W Polsce, obok tych z jakimś cenzusem w postaci przynależności do związków i stowarzyszeń twórczych czy innych legitymujących się zauważonymi przez krytykę książkami, jest mnóstwo poetów internetowych, którzy mają wielu swoich czytelników. Komentują oni ich wiersze, chwalą, a nawet niewybrednymi słowami ostro gania, co wielu autorów zapewne zniechęca, ale wielu ma się dobrze i rośnie w sławę na Facebooku. Czyżby w nas była aż taka ogromna potrzeba poezji? Potrzeba pisania wierszy? Potrzeba wyrażania w nich siebie.

Każde pokolenie manifestuje swoje credo. W 1958 roku Małgorzata Hillar (rocznik 1926), wówczas moja idółka, dziś już prawie zapomniana w druku, ale odnaleziona na drugie życie w internecie, pisała: *My z drugiej połowy XX wieku / rozbijający atomy / zdobywcy księżycy / wstydźmy się / miękkich gestów / czułych spojrzeń / ciepłych uśmiechów // Kiedy cierpimy / wykrzykiwamy lekceważąc wargi // Kiedy przychodzi miłość / wzruszamy pogardliwie ramionami // Silni cynicy / z ironicznie zmrużonymi / oczami // Dopiero późną nocą / przy szczególnie zasłoniętych oknach / gryziemy z bólu ręce // umieramy z miłości.*

Ponad pół wieku później, licealistka z Gorzowa, Agnieszka Natalia Prószyńska na moje warsztaty w Grodzkim Domu Kultury przyniosła wiersz, który uznałem za manifest jej pokolenia. Wierszem tym wygrała przed 12 laty uważany za ważny w środowisku młodych poetów ogólnopolski konkurs „Złotego Pióra” w Gubinie. Opublikowałem go w antologii „Poeci Okrągłego Stołu”: *My dzieci światła / Które nigdy / Nie zaznały wojny / Głodu i / Prawdziwej tragedii / Które drobne uczuciowe porażki / Uważają za życiowe tragedie / Szukamy pociechy / W alkoholu / Narkotykach // My, którzy nigdy nie musieliśmy walczyć / O swój kraj / I lepszy byt / My żyjący / W bezdusznym świecie / Szukamy rozwiązania / W śmierci // My dzieci światła / Które w porównaniu z dziećmi wojny / Mamy wszystko / Żyjemy w psychicznym luksusie / I mamy wręcz śmieszne problemy / Pragniemy tylko miłości*

Środowiska literackie naszego kraju w swych rachunkach uwzględniają nie tylko twórców profesjonalnych, ale również laureatów konkursów literackich, beneficjentów stypendiów fundacji

oraz nagród krajowych i regionalnych, ale i tych regularnie publikujących. Jak dostać się do tego grona? Na ten, nie turystyczny, a mityczny, Parnas? A jak w tym, nawet jeśli tylko kilkudziesięcym, tłoku znaleźć prawdziwy, niegrafomański wiersz? Jest na to parę sposobów. Jednym z nich, poza ślepym trafem i intuicją, są konkursy i turnieje poetyckie. Zaryzykuję twierdzenie, że najbardziej potrzebne i skuteczne są te, w których mają odwagę zmierzyć się ze sobą czujący taką potrzebę najmłodszy utalentowani – piszący uczniowie. Oni muszą pokonywać najsilniejsze twórcze stresy. Wszak odkrywają siebie w tym pisaniu wobec wielkich dzieł, jeszcze większych poetów, których, im bliżej matury, jest coraz więcej, i coraz bliżej są ich rzeczywistości. Muszą zaciskać zęby na obraźliwe kpiny rówieśników: „ty, poeta – tylko głowa nie ta”, ironiczne komentarze nauczycieli: „ty, poeta – przestań bujać w obłokach i weź się za naukę!” – Jeśli uczniowie, mimo takich i wielu innych inwektyw w swoim środowisku, piszą, to widać, że jest w nich ogromna potrzeba poezji, a obok niej ogromna dla poezji pogarda. Rok później wyżej cytowana Agnieszka Natalia Prószyńska napisała dopełnienie tamtego wiersza:

My / tak zwyczajni / i tak niezwykczajni / zbuntowani a jednak spokojni / Wrażliwi ale tak bardzo odbiegający od normy / że aż jej bliscy // Czasem i nas dopada zwątpienie / czy nasz cel jest tego warty // My / odrzuceni przez innych / idziemy prostą drogą / z napisem dziwak na plecach / i walizką pełną smutku...

Kilka lat później, w Szczecinie, w IV Konkursie „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej” znajduję jako juror (a było to moje prywatne odkrycie) wiersz-manifest pokolenia wstępującego w drugą dekadę XXI wieku. Wiersz Magdaleny Kopeć, lat 18 – tragiczny w swej gorzkiej wymowie, doświadczony praktyką polityczną i społeczną, która w obecnym świecie nie oszczędza młodych, wrażliwych umysłów, zmuszając je do przedwczesnych wyborów:

Fantastycznie niedojrzali dosiegamy szczytów / Stojąc jedynie na palcach. / Eloquentnie pakujemy palce do nosów / szukając skarbow. / Niezapomniane chwile rysujemy pisakiem / w postaci rebusów. / Bez siły ważkości podróżujemy w chmurach / błędząc myślami daleko. / Nikt nas nie potrzebuje, o nic nie pyta, / bo my przecież o niczym nie wiemy. / Popychając plecy stojącego przed nami / unikamy kroków w tył, / a w rozbiegu rozchlapując kałużę / unicestwiamy wrogów. / Niebezpiecznie nieodpowiedzialni / Szalejemy na miłość.

Popatrzcie na te teksty. Zobaczcie, co je dzieli i znajdziecie, co łączy pokolenia młodzieży twórczej w przestrzeni co najmniej trzech pokoleń: *Umieramy z miłości, Pragniemy tylko miłości, Szalejemy na miłość.* A politycy dyskutują, czy w obliczu ogarniającej świat pandemii koronawirusa, przy zamkniętych już szkołach, uniwersytetach, teatrach, galeriach, klubach, nawet bibliotekach, przy braku środków ochrony służb medycznych, dziesiątek tysięcy trumien czy urn opuszczających klinice szpitali, przed mikrofonami, kamerami ośmieszają się w kłótniach o wybory, na które nikt, komu życie miłe, w sytuacji jego zagrożenia nie pójdzie. Kłóca się i nic ich nie łączy. Ani miłość, ani ojczyzna, ani patriotyzm. Czasami któryś z nich rzuci w przeciwnika noblistą: *Który skrzywdził człowieka prostego [...] Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.* Ale już nikt nie zapyta poety o radę w tych podstawowych dla narodu kwestiach. Może i dobrze, bo nie wiadomo co i przeciw komu zrobiliby z niej użytek! Niech poeta pamięta słowa z Ewangelii św. Mateusza: *Nie dawajcie psom tego, co święte, ani nie rzucajcie perł waszych przed wieprze, by ich przypadkiem nie podeptały nogami i obróciwszy się nie rozszarpały was...*

W tym rozważaniu pozwoliłem sobie – wybaczenie, proszę – na poszerzenie rozważań o młodej poezji o głos w sprawach ważniejszych niż tylko miłosne zauroczenia jej wyznawców: o nich samych we współczesności, o miejsce ich doczesnego ojczyźnianego bytu, o znaczenie poetyckiego talentu, wyróżniającego ich z internetowej magmy, o czułe myślenie o przyszłości ich samych i później ich dzieci, i o skutkach, które niesie poetom artystowskie oderwanie od pokolenia, którego chcą, czy nie, są integralną częścią.

ZBIOROWY PORTRET LITERATÓW

Książka została wydana z okazji 100-lecia Związku Literatów Polskich i 15-lecia utworzenia Oddziału ZLP w Gorzowie. Jej tytuł „LITERACI W GORZOWIE POD SKRZYDŁAMI PEGAZA”. Nowy almanach poetów i pisarzy ułożony przez Ireneusza Krzysztofa Szmida.

Nie jest tajemnicą, że I.K. Szmida to od wielu lat mój mąż. Dlatego proszę, żeby każdy odpowiedział we własnym sumieniu, czy powinnam pisać o tej książce, bo to oczywista prywatna, czy raczej pominąć ją milczeniem. Ja uznałam, że jako także od wielu lat notariuszka (od: notać) wszystkich publikacji o Gorzowie i regionie nie mogę jej nie zauważyć. Jednak w moim omówieniu nie będzie „ochów” i „achów” z powodu książki, choć takie rozlegają się z wielu stron. Tu muszę podkreślić, że I.K. Szmida za „Literatów w Gorzowie” dostał nominację do Nagrody Rektora UAM w Poznaniu za Najlepszą Książkę Popularnonaukową 2019 w konkursie o Lubuski Wawrzyn Naukowy.

Almanach jest obszerną prezentacją ludzi piszących związanych z Gorzowem i regionem, a nawet – wyjątkowo – mieszkających za granicą. Rocznicowy charakter wpłynął na przyjęty układ:

Cz. I – Poeci i pisarze zrzeszeni w Związku Literatów Polskich (27 osób),

Cz. II – Poeci i pisarze spoza ZLP (25 osób),

Cz. III – Ci, którzy odeszli – (16 osób).

Łącznie – 68 autorów. Także syntetyczne omówienie życia literackiego miasta, wyszczególnienie wydawnictw i czasopism prezentujących utwory literackie. Na zakończenie 94 tytuły książek wydanych w Bibliotece Pegaza Lubuskiego. A wszystko to w kolorze, na kredowym papierze i w twardej oprawie.

Z przynależnością do Związku Literatów Polskich nie wiążą się żadne korzyści, poza poczuciem bycia w dobrym towarzystwie. Ale żeby zostać członkiem ZLP, trzeba Komisji Kwalifikacyjnej przedstawić co najmniej trzy tomiki wierszy albo dwie książki prozatorskie. Po ich lekturze komisja decyduje, czy jakość przedstawionych utworów uprawnia kandydata do wejścia w szeregi członków ZLP. Kryteria chęci i jakości spełniło 27 autorów. Członkowie grupują się w oddziałach Związku, najczęściej w tym, który działa blisko miejsca ich zamieszkania, ale to nie jest warunek obowiązujący. Jeden z członków gorzowskiego Oddziału zamieszkał w Toruniu, ale nie wyraził ochoty na związanie się z tamtym oddziałem. Jedną z członkiń zamieszkała w Sztokholmie, a tam nie ma oddziału ZLP. Jeden członek od wielu lat mieszka w Niemczech, ale wywodzi się z Gorzowa, tu często wraca, a więc wyraził akces do gorzowskiego oddziału. Wszyscy jednak, niezależnie od miejsca zamieszkania, muszą płacić składki.

Każdy spośród 25 poetów i pisarzy obecnych swoją twórczością w gorzowskim środowisku, a niebędący członkiem ZLP, może wystąpić z wnioskiem o przyjęcie, ale to zależy wyłącznie od niego. Przy lekturze i ocenie twórczości czytelnik nie pyta o przynależność do stowarzyszenia. To kryterium nie jest brane pod uwagę przy np. przyznawaniu stypendium Prezydenta Miasta ani Nagrody Motyla, nie ma też wpływu na ewentualne dofinansowanie publikacji z budżetu miasta.

Kryterium włączenia pisarza do części trzeciej książki jest oczywiste: już nie żyje. Ale tu autor antologii przyjął odwrócony

układ chronologiczny: pierwszy jest Tadeusz Szyfer, który zmarł w 2019 r. Warto podkreślić jest to, że wszyscy znaczący literaci gorzowscy, a już nieżyjący, byli członkami ZLP.

Poruszanie się po tym nietypowym układzie almanachu ułatwia zamieszczony na końcu skrowidz wszystkich omawianych literatów.

Każdy z literatów prezentowany jest zdjęciem, notą biograficzną, wykazem publikacji, wybranymi najlepszymi wierszami lub charakterystycznymi fragmentami prozy, a także recenzjami, opiniami, wypowiedziami własnymi lub czytelników.

Żeby solidnie i rzeczowo przygotować prezentację każdego z 68 autorów, Ireneusz Krzysztof Szmida musiał powrócić do lektury wszystkich ich książek, a także do omówień. Przy niektórych miał stosunkowo łatwo: trzy tomiki poezji i dwa-trzy omówienia. Ale Jerzy Hajduga wydał już 20 tomików wierszy, Marek Bucholski napisał dziewięć tomów obszernych opowieści

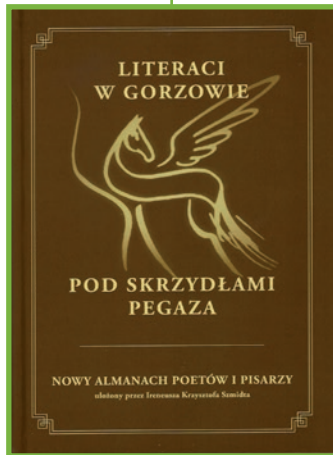
o świecie, a Jerzy Alski osiem opasłych powieści. Wiele materiałów dostarczyło 79 numerów „Pegaza Lubuskiego”, ale I.K. Szmida nie ograniczał się do „Pegaza”, a bardzo zależało mu na publikacji wierszy oraz na przywołaniu opinii, które nie weszły na łamy pisma. W tym miejscu muszę przekroczyć narzucony sobie wyłącznie informacyjny ton tego omówienia, by wyrazić podziw dla własnego męża, bo wiem, ile czasu, zabiegów i poszukiwań wymaga tego rodzaju zadanie.

Almanach liczy 420 stron i jest zbiorowym portretem poetów i pisarzy związanych z Gorzowem. Wielu mieszkańców może być zdziwionych, że w naszym przemysłowym mieście, w którym nie ma tradycji humanistycznych ani uczelni o takim profilu, tworzy tylu literatów i powstało aż tyle książek. Dopiero trzeba prezentacji sumy, aby udowodnić, że Gorzów jest miastem literackim. 15 lat temu Oddział ZLP powstał dlatego, że byli tu twórcy. Od 2003 roku ukazuje się „Pegaz Lubuski”, gdzie autorzy mogą drukować swoje utwory, a możliwość druku mobilizuje znacznie bardziej niż pisanie do szuflady. Również od wielu lat Związek otrzymuje niewielkie dofinansowanie z budżetu miasta na zazwyczaj dwie-trzy publikacje w roku. Ale m.in. dzięki temu w Bibliotece Pegaza Lubuskiego ukazały się 93 książki, a omawiany almanach jest 94. pozycją. Znaczący jest przy tym udział Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta, która jest współwydawcą „Pegaza Lubuskiego” i w siedzibie której odbywają się promocje poszczególnych numerów. W jej salach także odbywa się wiele spotkań autorskich i premier książek z Biblioteki Pegaza.

Ze sprawozdawczego obowiązku muszę dodać, że prezesem Oddziału ZLP oraz redaktorem naczelnym „Pegaza Lubuskiego” i Biblioteki Pegaza jest Ireneusz Krzysztof Szmida.

Promocja książki miała się odbyć 25 marca. Z oczywistych względów jej nie było. Ale „Literaci w Gorzowie” są już w bibliotece oraz w dyspozycji Wydziału Kultury Urzędu Miasta, by szerzyć wiedzę o wszystkich gorzowskich literatach.

„Literaci w Gorzowie. Pod skrzydłami Pegaza”, nowy almanach poetów i pisarzy ułożony przez Ireneusza Krzysztofa Szmida, wydany w 100-lecie Związku Literatów Polskich i w 15. rocznicę powstania Oddziału ZLP w Gorzowie Wielkopolskim, Biblioteka Pegaza Lubuskiego nr 94, wyd. ZLP, Gorzów Wlkp. 2019, 420 s.



LITERATURA W GORZOWIE

„NOWY ALMANACH POETÓW I PISARZY, UŁOŻONY PRZEZ IRENEUSZA KRZYSZTOFA SZMIDTA” to podtytuł pozycji wydawniczej. A tytuł: „LITERACI W GORZOWIE POD SKRZYDŁAMI PEGAZA”, której znaczenia przecenić nie sposób. Na 420 stronach znajdujemy aż 68 biogramów ze zdjęciami, reprodukcjami okładek publikacji, fragmentami utworów i fragmentami recenzji. Tak powinien brzmieć wstępny anons, ale uzupełniony o kontekst. Dbałość prezesa gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Ireneusza Krzysztofa Szmidta – rzecz ukazuje się w studium Związku Literatów Polskich i 15. rocznicę powstania owego gorzowskiego Oddziału – o swoisty porządek w papierach i skrupulatną dokumentację sprawia, że każdy, kto chce takową orientację mieć, a ja zawodowo do takich się zaliczam, ma drogę ułatwioną, można rzec maksymalnie. Tym bardziej, że w Gorzowie encyklopedie, leksykony czy almanachy właśnie mają nie najlepszą tradycję, żeby wspomnieć na przykład sławetną (błędy, przekłamanie i plotki) encyklopedię Gorzowa czy pisaną uproszczoną polszczyzną multimedialną encyklopedię Gorzowa. I jeśli nawet za rodzaj wyjątku uznać można „Słownik landsberskich i gorzowskich twórców kultury”, sygnowany również przez naszą wojewódzką Książnicę, z 2007 roku, sprawia on, że dane tam pomieszczone w wielu wypadkach są już nieaktualne. Stąd ów almanach w wyborze Szmidta i redakcji niezmordowanej doktor Krystyny Kamińskiej, prywatnie małżonki Ireneusza, która (hm...) czyta wszystko, co się ukazuje na gorzowskiej niwie literackiej i dalece nie tylko literackiej. Pozwalam sobie, polecając go państwu, nie tylko choćby wyrwywkową lekturę, uznać go za pozycję wręcz fundamentalną. Prywatnie zaś moje wprawne recenzerskie oko nie dostrzegło – do tej pory – żadnych błędów, nawet literówek.

Natomiast zaskoczyła mnie liczba poetów i pisarzy – 68 w kręgu oddziaływania „Pegaza Lubuskiego”, kwartalnika, którego tytułowa główka, autorstwa nadwornego plastyka Zbigniewa Olchowika, stanowi ilustrację okładki owego almanachu. Jeśli chodzi o liczbę, w tym spora, 27-osobowa reprezentacja Oddziału Związku Literatów Polskich. Z tego względu, jak zawsze z braku miejsca i czasu, dodam jedynie, że almanach składa się z dwóch części: członków i nie- Związku Literatów Polskich oraz króciutkiego szkicu historycznego i wstępu pióra Ireneusza Krzysztofa Szmidta, oczywiście, z którego – już na zakończenie – kilka słów zacytuję:

„Połowa z żyjących bohaterów tej książki ma małą wspólną rzecz: LEGITYMACJĘ Związku Literatów Polskich i od 15 lat własny jego gorzowski Oddział. Pomyślałem, że dla uczczenia tego jubileuszu warto w spektakularnej formie almanachu przybliżyć sylwetki 27 poetów i pisarzy zrzeszonych w ZLP, 25 zbliżonych do nas, ale jeszcze bez legitymacji, oraz 16 już rezydentów niebiańskiego Parnasu. Adresuję tę książkę do tych, którzy nas czytają, ale i do tych, którzy znają nas tylko z widzenia lub słyszenia, a dzięki tej książce zechcą bliżej poznać nas i choć w niewielkim wyborze, nasz twórczy dorobek. Dlatego nie będzie to zwyczajna antologia li tylko z wyborem utworów, ale ALMANACH stanowiący rodzaj grupowego dowodu osobistego naszego gorzowskiego środowiska literackiego”.

Lekturę owego almanachu serdecznie polecam uwadze Państwa.
(Radio Zachód, sobota 1 lutego 2020 r., godz. 14-15)

LUCYNA MIOSGA

mieszkanka Santoka, pragnie się schronić „pod skrzydła Pegaza”. Przysłała kilka wydanych książek, notkę biograficzną i obszerny fragment powieści „Anioł stróż czy czekolada”.



Urodziłam się 05.03.1973 r. Jestem nauczycielem terapeutą, wykładowcą. Zарадам ludzi pasją zdrowego życia, miłością do zwierząt oraz naturalnymi sposobami wspomagającymi leczenie. Ukończyłam pedagogikę specjalną na Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie oraz dietetykę i doradztwo żywieniowe na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu. Zdobyłam uprawnienia w zawodzie zielarz fitoterapeuta. Pracowałam w szkole jako pedagog specjalny, nauczyciel wczesnego wspomagania. Szkoliłam przyszłych pedagogów na kursach zawodowych i uczelniach z zakresu pedagogiki.

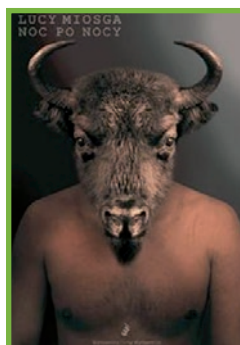
Obecnie prowadzę własną firmę zajmującą się doradztwem dietetycznym i zdrowotnym. Wydałam poradniki: „Pomóż mi być” Wydawnictwo Impuls, Kraków (2005 i 2006); „Poradnik zdrowego odżywiania” (2018).

Wydałam książki literackie: „Anioł stróż czy czekolada” wydawnictwo Novae Res (2019); „Noc po nocy” Warszawska Firma Wydawnicza (2013). Otrzymałam wyróżnienia w konkursie im. Anny German (2013, 2014), moje wiersze weszły do tomików pokonkursowych.

„NOC PO NOCY” to krótka opowieść o trudnych relacjach pomiędzy płciami. Lucy (a właściwie Lucyna) Miosga odmalowuje portret współczesnej kobiety w momencie jej wchodzenia w dorosłość.

Główna bohaterka – Julia, właśnie opuszcza rodzinne gniazdo, które dotąd było jej azylem i kryjówką przed podstępny świat zewnętrzny. Trudność tego doświadczenia wynika z wielu przyczyn, z których najbardziej istotne dla ostatecznego ukształtowania się osobowości Julii stanowią: nadopiekuńczość rodziców, przykre doświadczenia z mężczyznami i, co gorsza, ich nieunikniona przypadkowa, jaką jest androfobia. To właśnie irracjonalny (czyżby? a może jednak jak najbardziej uzasadniony) lęk przed mężczyznami stanowi największy problem Julii, której dotąd dane było spotykać na swej drodze jedynie pozbawionych skrupułów osiłków, przemądrzałych pseudointeligentów i zezwierzęconych erotomanów, używających do myślenia innej części ciała niż stworzona ku temu głowa. Były to typy tak charakterystyczne i przewidywalne w swoich zwyczajach, że z łatwością dały się zakwalifikować w kilka podstawowych zbiorów. W ten sposób powstał katalog mężczyzn, z jakimi Julia miała dotąd do czynienia i jakich postanowiła już odtąd unikać za wszelką cenę. Dajmy na to taki „zubroń” – typ samca alfa, owłosionego troglodyty, święcie przekonanego o swojej wyższości i dominacji, który na każdym kroku prezentuje roszczeniowy tryb podejścia do świata. Albo „szakondor”, który jest nikim innym jak tylko przeciętnym mężczyzną w średnim wieku, przeżywającym akurat wiadomy kryzys i szukającym potwierdzenia męskości w ramionach naiwnych młodych kobiet naszpikowanych marzeniami o wiecznej i romantycznej miłości płynącymi ze srebrnego ekranu.

Oddała mu siebie, swoje ciało i duszę. A on zniszczył wszystko, pozostawiając gorzki smak niezatartych wspomnień. Nie była to opowieść o pięknej miłości, jaką Julia spodziewała się usłyszeć. Była to lekcja z cyklu „Z kamerą wśród ludzi”. Julia zapisała tę lekcję w pamięci szczególnie: sytuacje, słowa, gesty, typ i charakter napastnika. Przeanalizowała sposób, w jaki przyczajają się na upatrzoną zdobycz, po czym ją atakuje i obezwładnia, by na koniec boleśnie rozszarpać bezbronną ofiarę. W ten sposób powstał kolejny typ mężczyzny, którego należy się wystrzeżać.



Fragment powieści

DZIEŃ DRUGI. Ja i mój mózg

Wieczór jest udany, nic mnie nie boli. Z nudów włączam telewizję, a tam kino gangsterskie. Lubię takie. Prosta i powtarzalna fabuła, ale doborowa obsada: Colin Farrell, Edward Norton, więc oglądam. Film kończy się przed dwudziestą trzecią, jestem już zmęczona i chce mi się spać. Dzisiaj wieczór bezlekowy, takie mam założenie, taki mój sposób na odczulanie i odtoksycznianie organizmu. Niestety, mój mózg ma tendencję do przetwarzania wszelkich informacji na użytek własny. I wtedy, kiedy inni smacznie śpią, ja miałem sytuacje z całego dnia aktywności. Zapisują się zazwyczaj te wydarzenia, które mnie zbulwersowały, zdenerwowały – mówiąc ogólnie: pod moją czaszką szarżują negatywne myśli i uczucia, rozpychając się co chwila i tworząc wariacje na temat. Wychodzą z tego nocne hity dnia. I tak się dzieje także w tym przypadku. Nie pomaga nawet późna kąpiel, a ponoć woda ma moc oczyszczania i uzdrawiania.

Zasypiam o dwudziestej trzeciej dwadzieścia. Sen przychodzi szybko, a wraz z nim projekcja retrospektywna. Tak mówię, kiedy mój mózg przedstawia własną wersję na podstawie minionych wydarzeń. Mam nieodparte wrażenie, że on myśli, że ja jestem integralną częścią wszystkiego, co się wokół mnie dzieje – nie oddziela fikcji od rzeczywistości, nie odróżnia przeżyć innych ludzi od moich własnych, każe mi brać czynny udział we wszystkim, nawet w sposób pośredni, niezależny ode mnie. Ostatnio podsłuchiłam, jak jeden z sąsiadów opowiadał kole-dze, że zdradza żonę – ot, zwykła historia, podobna do tysięcy innych. Oczywiście w nocy, na poziomie podświadomości, ta sytuacja dotyczyła nikogo innego, tylko właśnie mnie. Budzę się więc zdenerwowana, przerażona, złana zimnym potem. Zerkam z nutą podejrzliwości i lęku na śpiącego obok męża. Myślę nawet, że usłyszenie rozmowy sąsiada z kolegą mogło nie być przypadkowe – pewnie Opatrzność wysłała mi tajemne znaki, jest moim trzecim okiem, wyższym stanem świadomości, czuwającym, aby wyrządzane mi krzywdy nie pozostawały bezkarne. To mój wewnętrzny obrońca i mściciel.

Patrzę jeszcze raz na mojego niczego nie podejrzewającego męża. Śpi snem sprawiedliwego, oddycha miarowo, jego twarz wygląda łagodnie i spokojnie. Małe śledztwo jednak nie zaszkodzi, a tymczasem pośpię jeszcze trochę... Na wszelki wypadek łapię męża za rękę, aby nie zatarł śladu swojego przestępstwa, kiedy zasne.

A wracając do wieczoru po obejrzeniu filmu o skorumpowanych glinach: wyglądało to mniej więcej tak...

Idę wieczorem mroczną ulicą miasta, nagle dostrzegam półciętowane ciało. Poszczególne jego części leżą porozrzucane w promieniu kilku metrów. Czuję potworny lęk i zagrożenie. Nie wiem, czy to zwłoki kogoś bliskiego i czy coś mi grozi. Strach jest tak duży, że się budzę, ale nadal się boję. Próbuję się uspokoić, siadam na łóżku, jednak to nic nie daje. Idę do kuchni napić się wody. Jestem zaspana i zmęczona. Wracam do łóżka. Kładę się, zamykam oczy i usiłuję dośnić sen, wymyślając własne zakończenie. Wkładam w to wiele wysiłku, jednak miraż ciągle nawiedza mnie w swej przerażającej wersji. W końcu jednak obraz się rwie i zamazuje, przychodzi chwila ulgi i wytchnienia.

DZIEŃ TRZECI. Carpe diem

Czasami sen przychodzi szybko, nawet zbyt szybko. Zaspam spokojnie z apetytem na wypoczynek. Trochę takie uczucie, jakby się czekało przez dłuższy czas na coś bardzo ważnego.



Pamiętam, jak w okresie Wielkiego Postu przez czterdzieści dni chowałam słodczyce. Gdy tylko dostałam coś pysznego, natychmiast ładowałam do przygotowanej torby. Każdego dnia z dumą patrzyłam, jak rośnie objętość torebki, i planowałam, co zjem jako pierwsze, kiedy post się skończy. Wciąż myślałam o tych łakociach i upajałam się świadomością, że przyjdzie dzień, kiedy wysypię je, pochyłę się nad nimi i dokonam wyboru. Wyobrażałam sobie wspaniałą oprawę tego dnia i dorabiałam ideologię, jak to wraz ze zwycięstwem Chrystusa Króla nad śmiercią będę mogła świętować moje małe zwycięstwo nad upadłą naturą człowieka. Oto wygrałam, wytrzymałam, po-

waliłam na kolana swoje słabości i prymitywne zapędy. A teraz czeka mnie upragniona nagroda. Kiedy jednak przychodził ten moment, zazwyczaj nie potrafiłam się nim cieszyć. Zastanawiałam się, co jeszcze mogę zrobić, aby być lepsza. Nie wiem, od kogo i dla kogo. Może powinnam podzielić się tymi smakołykami z innymi dziećmi? Ale którymi? Przecież większość tych, które znałam, jadły słodkości, kiedy miały na to ochotę. A może należy poszukać tych, które nie mają słodczych? Tylko gdzie? I tak mój postny okres się wydłużał. Czyżbym miała ambicję zdeklasować samego Boga w tej konkurencji?

Po paru dodatkowych dniach postnych wysypywałam zawartość torebki, a tam – niespodzianka... Kilkanaście papierków udających cukierki, nadgryzione czekoladki i do połowy puste bombonierki – później nauczyłam się mówić: do połowy pełne. A owoce zazwyczaj były nadgnite, czego można było się spodziewać po kilkunastu lub kilkudziesięciu dniach. A przecież ja tak bardzo się starałam, poniosłam tyle ofiar i co mi z tego przyszło... Moje zdziwienie i rozgoryczenie nie miało końca. Poczucie niesprawiedliwości kryło się za głęboko niezrozumiałym poświęceniem.

Nie było buntu i gniewu, tylko ciche, nieśmiałe pytanie: dlaczego? Wtedy dla równowagi do głosu dochodziło superego, niepewnie szepczące: „Jesteś dobrym człowiekiem, masz twarde zasady, inni powinni cię naśladować”. To jednak nie wystarczało, więc z tyłu głowy dobiegał jeszcze jeden szept: „Jesteś lepsza od innych, jesteś wybrańcem, mesjaszem”... To mnie nieco uspakajało i pozwalało przełknąć tę porażkę, której sprawcą był mój brat. Był mistrzem iluzji i mistyfikacji. Potrafił wyjść zawartość bombonierki bez naruszania jej opakowania. Oczywiście nigdy nie przyznawał się do winy, bazując na zasadzie domniemania niewinności. Nie było świadków ani niezbitych dowodów wskazujących na niego – były tylko przypuszczenia i poszlaki. Często uśmiech na jego twarzy, znajomość smaku poszczególnych słodkości czy wcześniejsze tego typu incydenty nie świadczyły jednoznacznie o popełnieniu przestępstwa, wytyczały tylko pewien kierunek, w jakim należy pójść, aby wszystko wyjaśnić i oczywiście ukarać winnego. A przecież nie o karę, ale o skrucę i chęć naprawy wyrządzonej krzywdy tu chodzi.

Tak więc sprawa nie została zgłoszona, kara nie została wymierzona, a poczucie niesprawiedliwości pozostało. I ciągnie się za mną aż do dziś. A przecież kilka łakoci się uchowało. Szkoda, że wtedy nikt mi nie pokazał, że można się cieszyć tymi drobnymi okruchami...

Teraz już wiem, że każdy okruch wart jest uwagi i może radować. Nie pozwolę, aby nawet ten najmniejszy dany mi od losu się zmarnował. Muszę tylko o tym pamiętać!

KLUB TEATRALNY W HISTORII I W POWIEŚCI ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO

Ciekawym zjawiskiem w życiu kulturalnym Gorzowa w latach 60. był Klub Przyjaciół Teatru, nazywany częściej po prostu Klubem Teatralnym. Jego obecność w mieście Zdzisław Morawski przeniósł do powieści „Miłość usunie tę żalobę”, która nie była dotąd drukowana. Porównanie dwóch wizerunków tego klubu będzie tematem poniższych rozważań.

KLUB PRZYJACIÓŁ TEATRU

27 marca 1963 r., w Międzynarodowym Dniu Teatru, IRENA BYRSKA zaprosiła do teatru przedstawicieli gorzowskiej inteligencji, artystów, dyrektorów szkół i ważnych zakładów pracy. Funkcję dyrektora teatru objęła niedawno, bo na początku roku. W roku 1962 pracowała w teatrze jako reżyser, a więc w pewnym stopniu już poznała społeczeństwo miasta. We wszystkich teatrach, w jakich wcześniej pracowała, bardzo dbała o kontakty z widzami. Także w Gorzowie z zasady przed każdą premierą uściskiem dłoni witała wszystkich przychodzących. Przed innymi przedstawieniami na gości czekała sama pani dyrektor lub w jej imieniu **Jadwiga Streit**, sekretarka i prawa ręka pani dyrektor. *Byrscy zawsze chcieli teatru utopionego w społeczeństwie, który by nie schlebiał, ale był potrzebny także po wyjściu z przedstawienia* – pisał Bohdan Danowicz.

Początkowo do klubu weszło 36 członków. Na przewodniczącego wybrano aktora **Zbigniewa Bebaka**, funkcję sekretarki objęła **Jadwiga Streit**, a skarbniczki **Zofia Magnuszewska** – romanistka z liceum ogólnokształcącego. *Chcemy skupić wokół teatru grupę ludzi rozmiłowanych w sztuce, umożliwić im wspólne dyskusje z aktorami, dramaturgami, krytykami teatralnymi* – zadeklarowała pani dyrektor w wywiadzie udzielonym „Gazecie Zielonogórskiej”. Ustalono, że członkowie będą się spotykać w drugą i czwartą środę miesiąca oraz po premierach. Już w maju tego roku powołano Klub Młodych Przyjaciół Teatru z udziałem uczniów szkół średnich, a jego spotkania odbywały się w ostatnią sobotę miesiąca. Często były także spotkania z uczniami szkół lub żołnierzami.

We wrześniu 1963 r. klub musiał zmienić przewodniczącego, bo Zbigniew Bebak odszedł z teatru. Jego funkcję przejął **Stanisław Jaskuła** – dyrektor Zakładów Mechanicznych, a zastępcą został **Aleksander Filipkiewicz** – dyrektor Szpitala Psychiatrycznego.

Przynależność do klubu była formą nobilitacji. Aby zostać jego członkiem, trzeba było złożyć deklarację i pozyskać poparcie dwóch członków. Spotkania odbywały się na piętrze teatru w sali, dziś nazywanej „salą 26”. Była ona oryginalnie wyposażona, co wspominała Irena Adamczuk: *Dyr. Byrska zauważyła, że na jednej z ulic ścinają stare lipy. Leżące bezużytecznie pnie przejął teatr do celów klubowych. Wykonano z nich surowe, ale oryginalne meble – ławy, stoły, piénki do siedzenia. Nawet boczne oświetlenie było wykonane z tego znaleźiska: żarówki były wmontowane w gałęzie, zastępując kinkiety*.

Podczas spotkań rozmawiano o kulturze Gorzowa, o teatrze. Jeden z tematów brzmiał: „Teatr wobec filmu i telewizji”,

a był to wówczas bardzo ważny temat, bo telewizja dopiero wkraczała do domów. Dużym zainteresowaniem cieszyły się spotkania ze znanymi twórcami teatralnymi: z aktorem i reżyserem **Władysławem Krasnowieckim**, z rysownikiem i scenografem **Zbigniewem Lengrenem**, z pisarzem i tłumaczem **Lechem Emfazym Stefańskim**, z pisarzami, których sztuki

wystawiano: **Tadeuszem Różewiczem**, **Kornelem Filipowiczem**, **Zbigniewem Herbertem**.

Informacje o atrakcyjności gorzowskiego klubu podawały gazety w całym kraju. „Kurier Szczeciński” nr 34 z 10 II 1964 r., a więc po niespełna roku funkcjonowania, donosił, że klub liczy 70 członków, „Trybuna Ludu” doszła aż do 100 (15 XI 1964). Członkowie klubu byli zapraszani na bezpłatne dla nich premiery sztuk wystawianych na tzw. Małej Scenie, które adresowane były przede wszystkim do wyrobionych wi-

dzów. „Trybuna Ludu” tę informację wybiła w tytule doniesienia jako nadzwyczajną atrakcję. Po wszystkich premierach odbywały się dyskusje z udziałem twórców przedstawienia, a członkowie wybierali najlepszego ich zdaniem aktora, któremu wręczano białą różę.

Rok po utworzeniu klubu – 25 marca 1964 r. w jego siedzibie otwarto bibliotekę teatralną. Zakupiono do niej książki za 20 tys. zł, fundusze te przekazała Miejska Rada Narodowa. Irena Byrska uważała, że biblioteka jest nieodłączną częścią teatru w jego pracy edukacyjnej. Podczas uroczystego spotkania z tej okazji członkowie klubu podziękowali pani dyrektor oraz innym pracownikom teatru, wręczając im książki. W kronice teatru zachowały się zdjęcia, na których przewodniczący Stanisław Jaskuła przekazuje prezenty.

Powyższe informacje o klubie pochodzą przede wszystkim z kolejnych tomów kroniki Teatru im. Juliusza Osterwy, którą z ogromną starannością prowadziła Jadwiga Streit. Bardzo dużo tam wycinków prasowych, niestety, tylko nieliczne z adresami i datami publikacji. Także bardzo dużo podziękowań od szkół, przedszkoli, jednostek wojskowych kierowanych na ręce pani dyrektor, często za pośrednictwem Klubu Przyjaciół Teatru. Jak można przypuszczać, większość spotkań z widzami przyporządkowywano działalności klubu.

Kronika z 1966 r. już nie zawiera informacji o klubie. Irena Byrska odeszła ze stanowiska dyrektorki teatru formalnie w końcu sierpnia 1966 r. Wraz z nią do historii przeszedł Klub Przyjaciół Teatru.

Pozostał we wspomnieniach i w legendzie jako wzór związków między dyrekcją i aktorami a widzami. Przypominano go podczas mniej lub bardziej formalnych spotkań po premierach, ale do reaktywowania nie doszło. Większość osób, które były jego członkami, już nie żyje.

KLUB TEATRALNY W POWIEŚCI

Nie wiemy, czy Zdzisław Morawski formalnie był członkiem Klubu Przyjaciół Teatru, ale jego związki z Ireną i Tadeuszem Byrskimi wskazują na bliskie kontakty. 5 września



I. Byrska i St. Jaskuła w Klubie Teatralnym



1964 r. miała miejsce premiera widowiska pt. „Pejzaż otwarty”, którego scenariusz opracował Zdzisław Morawski, wykorzystując wiersze poetów Ziemi Lubuskiej. Przedstawienie to reżyserował Tadeusz Byrski.

Klimat i problemy związane z klubem, tu nazywanym Klubem Teatralnym, były dla pisarza na tyle ważne, że wprowadził je jako wątek główny w pierwszej części powieści „Miłość usunie tę żalobę”. Nie była ona drukowana, a jej maszynopis znajduje się w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta. Archiwum pisarza przekazała Bibliotece jego żona Maria Morawska 26 maja 2018 roku. Wśród wielu teczek są trzy odbitki maszynopisu tej powieści liczącego 221 stron. Na końcu autor postawił datę „Gorzów 1974 r.”.

Być może więcej informacji o powstawaniu powieści można by uzyskać z „Zapisków codziennych”, ale na razie są one niedostępne. „Zapiski” to 31 skoroszytów formatu A4, w których Zdzisław Morawski notował zdarzenia i myśli od 31 grudnia 1971 do 30 czerwca 1985 r. Nie wiemy, czy proponował powieść do druku jakiemuś wydawnictwu, nie wiemy, czy zgłaszał do konkursów literackich. Wydaje się, że autor ciągle wprowadzał do niej zmiany, bo niektóre strony mają nową, dopisywaną ręcznie numerację. Podobnie jeszcze niekonsekwentnie nazywał swoich bohaterów. Jeden z nich na początku nazywa się „Rzeszewski”, a dalej nazwisko jest ręcznie skręcane do „Rzeszoto”.

Jedno natomiast jest pewne: akcja powieści osadzona jest w Gorzowie i wyrasta z gorzowskich realiów lat 60.

*

Postacią wzorcową jest lekarz Piotr Berler, który był współinicjatorem stałego teatru w powiatowym mieście, a potem wiernym bywalcem klubowych spotkań, do których wnosił wiele dobrego smaku, rozważ i taktu. Proponowano, aby on został prezesem klubu, ale nie wyraził zgody.

*

Wątek teatralny rozpoczyna się od poszukiwania przez Kacpra Budę sposobu wejścia do kręgu admiratorów teatru. Ten hodowca świń (200 tuczników), który w Zielenie zatrudniał dwóch pracowników, właściciel taksówki na miejskim postoju oraz milioner z *łaski totolotka* zasłynął w mieście tym, że w barze „Pod Łabędziem” stawiał wódkę każdemu, kto wszedł, a stuzłotówkami przypalał papierosy. Jego wcześniejsze próby dostania się do klubu autor tak opisuje:

Mógłby przyjść na pierwsze lepsze spotkanie popremierowe, bowiem ta część spotkań klubowych była publiczna, ale im częściej Kacper bywał w teatrze, tym bardziej spadała z niego buta milionera i hodowcy. Wiedział przede wszystkim to, że w teatrze nikt go nie faworyzował, a nawet nikt nim się nie interesował, jakby to nie Kacper Buda krążył między nimi podczas przerw, lecz zwykły pierwszy lepszy widz teatralny. Dostrzegł też, że pewien zespół ludzi umawia się na wieczorne spotkania, ale odbywa się to jakby po zamkniętym obwodzie, do którego Kacper nie miał przystępu.

Pewnego dnia zwrócił się do portiera, by ten znawca teatralnych spraw pomógł mu w wejściu na klubową drogę, ale portier zmierzył go takim wzrokiem, że Kacper umknął, a po drodze kłął, że okazał się mniejszy od woźnego. Druga próba kontaktu też Kacprowi nie wyszła. Przez znajomego rzemieślnika Kota, który był wykonaw-

cą projektów artysty plastyka i architekta wnętrz, starego klubowicza, Buda poprosił o wprowadzenie do klubu, ale popełnił błąd, bo chciał architekta Mieczysława przekupić. Ten spojrział na niego z taką obraźliwą dobrocią, że Kacper ze wstydem odszedł.

Tym, który patrzył na Kacpra z *obraźliwą dobrocią*, był Mieczysław Rzeszewski, architekt wnętrz, w Gorzowie od 1957 r. Opracował scenografię do „Anioła na dworcu” (premiera 15 I 1966), a także projektował wiele elementów wykorzystywanych w scenografiach Michała Puklicza.

Kacper dowiedział się, że jednym ze stałych członków klubu jest Jerzy Jurczyk, kiedyś dzielny partyzant, a teraz inwalida odznaczony wieloma medalami, także literat, trochę łazęga, trochę pijaczek. On należał do klubu, ale nie miał takiego jak Buda szacunku dla członków, nawet ostatnio przestał bywać na spotkaniach. Zawsze jednak mógł tam wrócić. Kacper poprosił go o pomoc w wejściu do tego elitarnego grona:

*

Kacper: – Mam w kieszeniach moc pieniędzy, a duszę pustą. [...] Chciałbym wejść do teatralnego klubu.

Jurczyk: – Do klubu? Po co?

Kacper: – Ciągnie mnie tam. Ludzie o nich wiele mówią, że tam same tuzy miasta przynależą, że tam sama kultura i największy ekskluzyw, że tam kultura na ścianach, przy jedzeniu i przy picu. [...] W karczmach ja jestem król, a tam mnie nie ma, więc chcę być.

*

W dniu tej rozmowy w teatrze odbędzie się premiera sztuki Henryka Ibsena „Hedda Gabler”. Po przedstawieniu członkowie klubu pozostaną w teatrze i porozmawiają o sztuce. Dyskusji mogą się przysłuchiwać wszyscy zainteresowani, ale potem tylko nieliczni przejdą do willi fotografa Jana Rajtara, gdzie toczy się druga część, która najbardziej interesuje Kacpra Budę i gdzie Jurczyk może go wprowadzić. Kacper zobowiązał Jurczyka, żeby przed przedstawieniem przyszedł do niego, a on przygotuje eleganckie ubranie. Ponadto – uznał – trzeba coś zrobić z rozwichrzoną brodą Jurczyka. Jurczyk niechętnie, ale zgodził się przyjść do Kacpra.

Po rozstaniu Kacper poszedł do delikatesów przy ul. Bolesława Chrobrego, gdzie zamówił skrzynkę szampa z odbiorem wieczorem.

W powieści mamy opis otwartej części spotkania klubu, ale z przesunięciem w czasie. W sezonie 1967/68 Ireny i Tadeusza Byrskich w Gorzowie już nie było. Zmiana była autorowi potrzebna do uzasadnienia innych wątków powieści:

W sezonie 1967/68 klub przeżywał rozkwit. Na ogólnych zebraniach klubu był po prostu tłok. Przychodzili inżynierowie, nauczyciele, dyrektorzy fabryk, urzędnicy, uczniowie klas maturalnych, lekarze, a każdy chciał pobyć, posłuchać dyskusji lub wziąć w niej udział, by w ten sposób obcować ze sztuką teatralną. Wśród zebranych w teatralnej kawiarni krążył dyrektor, którego szczupła sylwetka kłaniała się dookoła, bowiem byli to jego zwolennicy, których fetował to miłym słowem, to uśmiechem, jaki wysyłał spod krótko przyszczyżonej bródki. Za nim, jak nikły cień, sunęła delikatna pani Teresa, żona dyrektora, i podobnie jak on z radością patrzyła na tłoczne zgromadzenie. Sama obecność tych ludzi była pochwałą ich pracy.



– *Przyznaję – mówiła zakłopotana – że nie wiem, co robić, bo nigdy w życiu nie miałam tak wielu przyjaciół. To jest wzruszające, nawet jeśli nie wszyscy są przyjaciółmi.*

Tak wyglądały ogólne zebrania klubu, o których Sadowski mówił, że są czymś w rodzaju gorzowskiego Hyde Parku sztuki teatralnej.

Opis ten – jak można przypuszczać – oddaje atmosferę popremierowych spotkań. W osobie dyrektora widział Morawski Tadeusza Byrskiego, a w jego żonie – Irenę Byrską. W dalszej części powieści dyrektor ma nazwisko Koleba, a jego żona nie występuje. Natomiast przywołane powyżej nazwisko Sadowskiego należało do etnografa Wojciecha Sadowskiego, jednej z ważnych postaci gorzowskiej elity.

*

Pewnie nie od początku, ale nieco później wprowadzono ceremonię wybierania i nagradzania najlepszego aktora spektaklu. Dostawał plakietkę – „Różę Klubu” i kwiat róży. Wręczenie odbywało się w atmosferze podniosłej, przy burzliwych oklaskach, którymi zebrani dodatkowo nagradzali swojego wybrańca. *Długie były posiedzenia klubu i miały znanie pięknej zabawy w teatralnym salonie, a sława ich rosła daleko poza województwo* – skomentował narrator powieści prezentację popremierowego spotkania. Ale Zdzisław Morawski zawsze widział także drugą stronę medalu. W powieści przedstawił list jednego z aktorów do kolegi w Lublinie:

Gorzów jest najpodlejszym dla aktorstwa miastem, bo wiem po premierze krytykują aktorów. Jest w tym coś marnego i nieprzyzwoitego, by zapraszać ludzi na ten ich seans klubowy i bawić się ich kosztem. Jednego wytykać tą ich „Różą”, a drugiego szkalować tym, że „Różę” mu nie dano. Ale jest w tym również coś zachwycającego – przyznaję – że ludzie potrafią siedzieć po dwie, a nawet po trzy godziny i gadać w kółko o przedstawieniu, jakby to było treścią ich życia. Słowo ci daję, kochany, że tylko na tak głuchej prowincji jest to możliwe. [...] Galeria gorzowskich snobów i pseudoartystów urządza sobie z nas przedstawienie, bo chce się bawić, bo jej za mało scenicznej roboty, jaką im dajemy. Co za potwory za szlachetnymi maskami! [...] Oczywiście, że można by było to paskudztwo zbojkotować, zgnieść, znieśliwić, ale broni owych snobów dyrektor, który rygorystycznie i nachalnie wypycha nas na owe seanse. Powiada, że chodzi mu o teatr i o związki ze społeczeństwem. W tym sensie klub jest mu potrzebny. Drań ten tak steruje obsadą, by plakietki zdobywali jego faworyci i pupile. Im daję role, które ich wynoszą, a nas pognębiają. Tak ten sprytny człowiek wykorzystuje prowincjonalny snobizm dla własnych celów. Czy ty wiesz, że ja jeszcze tej plakietki nigdy nie dostałem, bo nigdy nie dostałem roli odpowiedniej do moich możliwości.

*

Dla przeciwwagi narrator cytuje opinię miejscowego socjologa kultury – Cunika. Inspiracją do tej postaci był Bogdan Kunicki, młody socjolog od 1970 r. zatrudniony w „Silwanie”, przyjaciel autora, jeden ze stałych członków tzw. Stolika numer 1. W 1978 r. obronił pracę doktorską pt. „Sytuacja inteligencji twórczej w mieście średniej wielkości”, która była podstawą do jego książki „Środowisko twórcze miasta średniego” (Warszawa 1980). Gdy Zdzisław Morawski pisał po-

wieść, Bogdan Kunicki już prowadził badania, ale jeszcze nie były one publikowane. W powieści mówi on:

Badalem fenomen klubu, badałem, a nawet zrobiłem ankietę socjologiczną wśród członków. [...] Zainteresował mnie on głównie z dwóch powodów: po pierwsze było to wolne skupisko ludzi o różnych zawodach i stopniach zainteresowania, które łączyło sympatyczne podejście do teatru. Było to ciekawe połączenie tego, co nazywamy układem nieformalnych związków ludzkich z pewnym, dość luźnym zresztą, sformalizowaniem. Po drugie było to ugrupowanie o dużym stopniu oddziaływania na otoczenie, ale działające bez celu oddziaływania, czyli – mówiąc inaczej – nie chcieli sławy, a zabawy, przynajmniej w początkowej fazie trwania klubu. Jest jeszcze jeden ważny powód, a ten mianowicie, że znam opinie socjologiczne na temat działalności na rzecz kultury środowisk twórczych i informują one o tym, że to, co powstaje na głębokiej prowincji nie ma szans ogólnopolskiego rezonansu. Wydaje mi się, że klub ten zaprzecza owej tezie, bowiem ostatnio czytałem enuncjacje prasowe, że przy jednym z teatrów warszawskich powstało coś w rodzaju takiego klubu, wprost jego wierna kopia. Więc nie tylko rezonans, ale i wzór do naśladowania.

*

W następnym rozdziale powieści trwa premierowe przedstawienie „Heddy Gabler”. Jurczyk i Kacper tak długo się szykowali, że przyszli dopiero pod koniec spektaklu. Jurczyk bez brody źle się czuje. Ma na sobie garnitur. Od dawna nie nosił takiego ubrania. Marudzi. Panowie postanawiają w toalecie przeczekać wyjście widzów, żeby potem przyłączyć się do członków klubu.

*

Z powieści nie wiadomo, czy tym razem odbyło się popremierowe spotkanie w teatrze, bo autor prowadzi czytelników wprost do sieni domu fotografa Jana Rajtara. Konsekwentnie nazywa to miejsce sienią, choć był to raczej elegancki hall albo nawet westybul z reprezentacyjnymi schodami.

Narrator – dziennikarz z warszawskiej gazety – przywołał fragment swojego reportażu napisanego wcześniej:

Wieczór rozpoczynał od wejścia i złożenia talara. [...] Tarcą ofiarną były żarna. Pieniądze te były przeznaczone nie tylko na trunki, jakimi raczono się podczas teatralnej gry klubowej, ale kupowano za nie także kwiat róży, który wręczano razem z plakietką aktorowi, jaki zebrany najbardziej się podobał w przedstawieniu. Była w tym klubie „ława szyderców”, był „kął pokutny” dla ludzi, którzy w dyskusji głądzili byle co, było „towarzystwo schodowe”, była „róża klubu”, było ugrupowanie panegirystów, w którym rej wodził polonista miejscowy pan Ciekora. Całe towarzystwo zebrane razem w Klubie Teatralnym stwarzało ową pożyteczną zabawę, która pozytywnie wyróżniała to teatralne miasto w pejzażu Polski. Wszystkie te instytucje wewnętrzne, ten cały liberalizm, ten stworzony powoli ustrój organizacyjny był interesującym połączeniem zabawy z rozumnym służeniem sztuce teatralnej.

*

W innym miejscach autor opisywał krąg uczestników i atmosferę spotkań, nieco się powtarzając:



Był tam stały krąg bywalców tej sieni, do którego należało towarzystwo schodowe, nazwane tak od tego, że zajmowali miejsca na schodach. Przewodziła im loża szyderców. [...] Pito tam dość dużo alkoholu, ale nie tyle dużo, by mógł on zmącić równy tok dyskusji. [...] Przy drzwiach stała, wprowadzona pomysłem Rzeszewskiego, taca ofiar na zrobiona ze starych żaren, na którą każdy rzucał, do klubowego przemiatu, odpowiednią składkę. Żarna te Rzeszewski znalazł u chłopca pod Lipkami, a wieśniak przywiózł je ze wschodu, gdzie mu w przeszłości służyły do śrutowania zboża, a teraz, jako muzealny zabytek, zapraszały do datek na biesiadę. Ludzie kładli pieniądze, bo wiedzieli, że im składka będzie obfitsza, tym sutsza będzie następna uczta.

Z czasem atmosfera spotkań zaczęła się zmieniać. Tu do głosu dochodzi zawsze obecny w prozie Morawskiego ton przekory i krytyki:

Towarzystwo schodowe – najbardziej wymagająca i radykalna grupa klubu, coś w rodzaju sankiulotów klubowych, przekształciło się z czasem w stado wyjców, których jedynym argumentem estetycznym był zwyczajny ryk. Klub był instytucją działań dobrowolnych i nieskrępowanych, więc nikt przeciw wyjącej grupie nie protestował, a tylko dawni klubowicze przycichli, ginęła dysputa, a wkraczał wrzask. Na zewnątrz klub miał jeszcze opinię miejsca ekskluzywnych dyskusji, ale wewnątrz to był już jakiś śmietnik, na którym walała się dawna świetność w dziwnym poniżeniu.

Narzucające styl obrad „towarzystwo schodowe” uznało, że... dysputy ogólne o sztuce są zwyczajnym mieleniem powietrza, niewiele dają, są zbyt abstrakcyjne, że lepiej realizować teatr niż o nim gadać. Był to atak na dotychczasową formę klubu, której towarzystwo schodowe zarzucało skostnienie, zbytnią dostojałość, prążenie się we własnym sosie, a nawet autopanegiryzm. Towarzystwo schodowe kontestowało niezwykle gwałtownie poświstywaniami i oślim wyciem, demonstrując w ten sposób protest przeciwko pustostłowi, jakie według ich zdania w klubie panowało. Wtedy zaproponowano dyskusję o tym, jak klub ma pracować. Podczas owej debaty malarz Godo powiedział, że być obecnym w klubie na takich zasadach jak dotąd, to lepiej grać w berka, a Hieronim zdanie to podtrzymał, by zorganizować klubowego berka jako nową formę filozoficznej zabawy.

Przywołany tu malarz Godo to literacki portret malarza Andrzeja Gordona (z twarzą cherubinka), natomiast nazwany z imienia Hieronim to architekt Hieronim Świerczyński, człowiek z poczuciem humoru. Zebrani podchwycili pomysł zabawy w berka. Jeden taki seans wspominał Jurczyk:

To było tak: jak ktoś cię dotknął, musiałeś stać tak długo, aż ktoś cię ze stójki wyzwolił przez dotknięcie. Ludzie stali parami jak posągi, a jedna para krążyła między nimi, jakby błędząc między ludźmi i szukając tych, którzy będą odpowiedni do chodzenia i mówienia. Był przy tym regulamin, opracowany przez zespół schodowy, bowiem dostrzegli oni w tym wyższy sens, że berek trwa tak długo, jak długo klubu ktoś nie wyzwoli wejściem – nowy gość lub dwunasta godzina, jako że nowy dzień był także gościem. Pytanie: dlaczego myśmy temu ulegli? Odpowiedź: nie wiem, chyba dlatego, by nie zakłócać liberalnego ładu

klubu, a także dlatego, by nie przeciwstawiać się nowym siłom i prądom. [...] Zabawa w berka trwała prawie na każdym posiedzeniu: stanie w milczeniu zastępowało dysputę, teatr ruchu zastąpił teatr słowa – tak to nazwał Hieronim, który miewał przebłytski filozoficznego geniuszu. Mnie ten teatr przestał się podobać i przestałem tam chodzić.

Berek z sieni Jana Rajtara bardzo przypomina chocholi taniec z „Wesela”. Morawski w ten sposób zapowiedział upadek klubu. Dokonał się on właśnie teraz, gdy członkowie klubu mieli rozmawiać o „Heddzie Gabler” i wybrać nowego prezesa.

Tego dnia miasto żyło jeszcze jednym zdarzeniem. Od dawna w sklepach brakowało mięsa albo dowożono je bardzo późno. Winnym tej opieszałości był dyrektor Sewer. Egzekutywa Komitetu Miejskiego i Powiatowego PZPR uznała, że za takie zaniedbania musi być usunięty ze stanowiska. Zaakceptował to sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Andrzej Łabęda. Sewer był dobrym znajomym doktora Piotra Berlera i Jana Rajtara, więc uzgodnili, że zaproszą go na posiedzenie klubu w domu Rajtara.

*

Akcja powieści przenosi się do willi Jana Rajtara.

Po premierze ludzie wchodzili na scenę sieni, składali swojego talara na żarnie, wieszali okrycia na zrobionych z poroża wieszakach, zajmowali miejsca, do których byli przyzwyczajeni lub które czuli się godni zająć. Odbывał się ten sam rytuał spotkaniowy jak zawsze. Prawda, nie było na zebraniu Berlera, a jakby osobą numer jeden stał się Sewer, który odpowiadał na liczne pytania, jak to się stało, że go wyrzucono. Odpowiadał chętnie, był w tym dniu największą atrakcją wieczoru. Próżno dyrektor teatru Koleba stawał na środku sceny i przypominał, że przed godziną zakończył się spektakl, o jaki klub prosił, próżno nawoływał do dyskusji o przedstawieniu. Wypowiedzi były niemrawe, pojedyncze. [...] Scena rozbrzmiewała głosami, ale były to wyrazy o ulicznym przedstawieniu, jakie urządzono Sewerowi przed sklepem mięsnym przy ulicy Pocztowej. [...]

Gdy ludzie pod ścianami sceny rozmawiali o swoich sprawach, [...] po prostu dla żartu lub dla własnej sławy, wskoczył na sceniczny krąg Hieronim, któremu przedtem Rzeszoto długo i żarliwie mówił o krzywdzie, jak spotkała dyrektora. Stanął w środku i krzyknął, by dzisiaj wybrano prezesem Sewera, człowieka skrzywdzonego. Kandydaturę tę stawia dlatego, by klub aktem wyboru zadeklarował swoją całkowitą niezależność. Z ławy szyderców okrzykami wspierał go Rzeszoto, który po wypiciu kilku kieliszków był niezwykle dzielny. [...]

Wniosek Hieronima potraktowany został jako dobry żart znanego wesółka – może trochę niesmaczny, ale niezły – dlatego zgromadzeni ludzie, przynajmniej ci, co propozycję usłyszeli, przyklepali ją brawami, by w ten sposób usatysfakcjonować i dowcip, i dowcipnisia. Klaskał więc uśmiechnięty Rajtar, klaskał dyrektor Koleba, Melcher, klaskała kierowniczka referatu kultury Zyta, klaskał Wojcieszek, palestrantka Rena, wtórowała jej Julia, nie wiedząc o co chodzi, a wszyscy śmiali się, bo wiedzieli, że Hieronim znów wytrysnął dowcipem. Śmiali się także dlatego, by Sewer wiedział, że to jest dowcip, by



mu nie było przykro. Wesółkowaty Hieronim też klaskał, ale zupełnie serio, gdyż w tym momencie stał się najważniejszą figurą klubu – stał się konstruktorem wyboru, przemawiał, klaskano mu, stał się przewodniczącym zebrania wyborczego.

– Panie i panowie – wołał w ekstazie. – Dokonał się wielkiego czynu, spełniliśmy historyczny akt: pan Sewer został dzisiaj poniżony i dzisiaj został wywyższony. Panie prezesie, klękam przed panem na kolana i oznajmiam, że od dzisiaj dostojną funkcję prezesa będzie się przyjmować od klęczącego. Proszę to zapisać w księgach!

Znów odezwały się oklaski, bo scena była pyszna, a w tym zespole każdy lubił się bawić cudzym kosztem. Po to tutaj przychodzono, po to kładziono talara na żarnach, ale w dalszym ciągu traktowano wybór jako część wstępną scenicznej zabawy wieczoru. Tylko inicjator wyboru – Rzeszoto, a także Godo z wysokości schodów wiwatowali na rzecz nowego prezesa. Sewer jako wybraniec klaniał się z rękami przy piersiach, zaś ukłony jego były tak prawdziwe, twarz miał tak wzruszoną, że Koleba z nutą niepokoju w głosie powiedział do Rajtara:

– Zdaje się, że on kabaretowy numer potraktował poważnie.

Przywołane powyżej postacie w powieści pełnią funkcję drugoplanową, ale na pewno reprezentują typy lub nawet konkretne osoby funkcjonujące w życiu kulturalnym miasta. Melcher ma za sobą chlubną przeszłość wojenną, a teraz jest działaczem partyjnym i klasycznym oportunistą. To on będzie zabiegał w gremiach partyjnych, aby wybaczone członkom klubu niefortunny wybór prezesa. Będzie to jednak wątek poboczny, bo w centrum akcji powieści znajdują się inne problemy,

*

Tymczasem w sieni Rajtara zabawa trwa. Dopiero teraz autor wprowadza na scenę Jurczyka i Kacpra Budę. Hieronim patrzył na Kacpra, *jakby do klubu weszła koza*. Kacper szedł za Jurczykiem taki spięty, że potknął się i runął na podłogę jak długi. Zaopiekowała się nim Julia, asystentka fotograficzna i partnerka Jana Rajtara. Od tej pory to Kacper i Julia będą stanowili parę, co okazuje się dowodem wyższości pieniędzy nad sztuką.

*

Jednak główny bohater zdarzenia – Sewer nie podzielał ogólnej atmosfery zabawy. *Siedząc w pokutnym kącie za fortepianem, pojął, że dzień dzisiejszy miał zakończyć się dla niego nowym upokorzeniem. Patrzył na dziwaczny taniec swojego wnioskodawcy i poczuł się tak zupełnie przegrany, tak okrutnie wyśmiany, tak zelżony, że miał wstręt do siebie i do każdego słowa tu wypowiedzianego. Przez chwilę robił sobie wyrzuty, ale zaraz poczuł się bezradny i dziecinnie żalosny. Zapłakał. Zawstydił się sam przed sobą swoich łez i w strachu, by więcej nie upokarzać się płaczem, uciekł z sieni tak, że nikt tego nie zauważył.*

W trakcie zabawy i wyborów Piotr Berler – lekarz był nieobecny, bo musiał nagle przeprowadzić operację. Po przyścinu na spotkanie klubowiczów uznał, że bardzo źle się stało, iż w taki sposób dokonano wyboru, że po prostu zakpiono z człowieka. Jednak pod nieobecność Sewera nie można już było podejmować nowych decyzji.

O odbyło się jeszcze kilka posiedzeń klubu, ale już nie było tak jak kiedyś, już klub chylił się ku upadkowi. Nawet zgrywusy, którym zawsze tylko o zabawę chodziło, czuli się jakby zawstydzeni, a może nawet upokorzeni sami przez siebie. [...] Wybór Sewera na prezesa, który przecież pozostał prezesem, bo nikt wyboru nie unieważnił, też odstraszał wielu ludzi. Inna zaś grupa, zgrywusy i towarzystwo schodowe, też zaczęła się nudzić.

*

W drugiej części powieści „Miłość usunie tę żalobę” wątek klubu teatralnego przestaje być obecny, a na pierwszy plan wysuwa się postać Marii Prety i zdarzenia z nią związane. Jest to żona Jana Rajtara, która kilka lat wcześniej poczuła w sobie talent aktorski, zostawiła męża i dzieci, a wybrała karierę w stolicy. Stała się wielką aktorką, grała główne role nie tylko na scenie, ale także w telewizji, co było formą nobilitacji, bo podziwiała ją cała Polska. Teraz Maria wraca do domu, bo jest chora. Wierzy, że wyleczy ją lekarz ceniony jeszcze w latach wojny – Piotr Berler i że atmosfera domu rodzinnego pozwoli jej przezwyciężyć chorobę.

Postać wielkiej aktorki, która z powodu choroby wraca do domu, wcześniej Zdzisław Morawski wykorzystał w sztuce pt. „Maria Preta” wystawionej w 1971 r. w Teatrze Wybrzeże w Sopocie. Stamtąd pochodzi także wiele postaci przeniesionych do powieści. W dramacie na plan pierwszy wysuwa się konfrontacja relacji między ludźmi w czasach wojny i 20 lat później. W powieści wojny prawie nie ma, natomiast najważniejsza staje się konfrontacja między sztuką a zwykłym życiem szarych ludzi. Maria Preta była wielką aktorką, a ze względu na chorobę musi zrezygnować ze sztuki. Jan Rajtar był zwykłym fotografem, ale chce być artystą, za co też płaci jakąś cenę. Jest w powieści jeszcze kilku bohaterów artystów lub aspirantów do miana artysty oraz wiele dyskusji o sztuce. Najważniejsza ma miejsce w ośrodku wypoczynkowym „Stilonu” w Lubniewicach, gdzie chorą Marię Pretę odwiedzają m.in. Rzeszoto, Hieronim, Cunic.

„Miłość usunie tę żalobę” nie jest dobrą powieścią. Wyraźnie widać, że autor nie przemyślał jej konstrukcji, że się gubi w prowadzeniu wątków, w budowaniu postaci, w ich funkcji itp. Ale na pewno wątki i postaci Zdzisław Morawski wyprowadził ze środowiska, w którym żył. Bardzo dużo tu Gorzowa. Od napisania książki minęło już prawie 50 lat, a od świetności prawdziwego Klubu Przyjaciół Teatru prawie 60. Niewiele osób pamięta tamte zdarzenia. Nie zachowały się one w innych formach: nie ma pamiątek, w prasie dominowały informacje bez komentarzy. Trochę tej atmosfery pozostało w legendzie „Stolika numer 1”, do którego przynależeli ci sami artyści, którzy weszli do powieści.

„Miłość usunie tę żalobę” – mimo jej literackich braków – to powieść o Gorzowie, o artystach i o środowisku inteligenckim naszego miasta. Na pewno można tam znaleźć odbicie jeszcze innych zdarzeń i ludzi, ale trzeba tę powieść czytać jak historyczny dokument. I jeszcze potrzebny historyk, który odnajdzie wszystkie relacje. Czy znajdzie się taki?

KRYSTYNA KAMIŃSKA



ZAPISKI Z PANDEMIA

CZEKAMY

Zastanawiam się, czy to, co ogarnęło w śmiertelnych kleszczach świat, otworzy ludziom oczy? Świat pędził z zawrotną szybkością. Dzisiaj nie może. Stanęliśmy. Czekamy. Mamy czas na przemyślenie spraw, lecz czy przemyślimy cokolwiek. Znowu na ekranach zabłysną „gwiazdy”, celebryci, śliczne żonki i inni lanserzy i będą godzinami infekować, zaczadzać mózgi błyskotkami, profilami, bo nie chodzi o myślenie. Póki co mamy kwarantannę i możemy żyć bez zdjęć na fejsie, bez idiotycznych twittów, pustych opowieści. Jest teraz czas, by przyglądać się naturze i to więcej znaczy, zwłaszcza wiosną, bo bardziej wewnętrznie do mądrej postawy usposabia.

MIASTO, CMENTARZ

Byłem w Zielonej Górze, na targu owocowym, kupiłem różę dla Zmarłej, przyjechało mało sprzedawców, szczypiorek kupiłem też, w ogóle mało ludzi, jakieś omijanie i bycie w pewnej odległości. Miasto robi wrażenie opuszczonego, ulice dość puste, prawie bez życia, ludzie zostali w domach, boją się, auta są na placach, ale nie tak dużo ich jak kiedyś. Pojechałem w południe na cmentarz, dobra pogoda, umyłem ręce kroplami spirytusu, które wylał mi na dłoń syn Adama. Chowana była żona Bagińskiego Anna. Kilka osób przyszło, dwie z Biblioteki i Maria Wasik. Książdz z małej książeczki odczytywał formułki na tę okoliczność o wiekuistej światłości i o aniołach, machał w stronę trumny metalowym kropidełkiem, najwyraźniej bez wody. Z boku grała trąbka, potem trumna wolniutko zaczęła zanurzać się w otchłań grobu, aż znikła. W pewnym momencie, przemówił do ludzi Adam, spokojnym głosem, bardzo sensownie, jasno, mówił, wspominał jak to wspierała go Ania w uprawianiu malarskiej sztuki, w malowaniu, w życiu, w depresji i kłopotach. Mówił, że Ania umarła nagle, nie obudziła się, że rano zazwyczaj pili kawę, że we Wrocławiu, gdy studiowała na Polonistyce, spotykała, bywała w towarzystwie artystów i poetów i miała kontakt z różnymi osobami – w empiku, Pałacyku, z Marianną Bocian, Januszem Styczniem, z Rafałem Wojackim, który dla niej na serwetkach pisał wiersze. Niestety, tych serwetek albo tych wierszy nie zachowała, wielka szkoda, pomyślałem. Zgromadziła dużo książek. I skończyło się jej życie. Wróciłem do domu, zdrzemnąłem się, a potem zająłem się ogrodem, bo już trzeba, praca nadmiar, zielsko się budzi. Ptaki śpiewają. We Włoszech umierają codziennie setki starszych ludzi, w Hiszpanii również jest bardzo duża śmiertelność, i chaos. Wczoraj giełdy mocno spadły na całym świecie. Najwięcej od 30 lat. Na horyzoncie recesja. Smuta. Pod wieczór całe niebo przepełniała pogodna, jasna, ciepła aura, dym z komina szedł prosto ku górze.

ADAM BĄGIŃSKI

Adam ma osiemdziesiąt lat. Całe życie zajmuje się sztuką. Jego obrazy wiszą w Bibliotece, w Filharmonii, są w prywatnych domach. Cenię też ogromnie jego akwarele. Ich poetycką lekkość. Byłem niedawno w jego pracowni. Nadal maluje nowe płótna, jeszcze bardziej ukierunkowane na syntezę istnienia. Ale żadnej wystawy z okazji okrągłej rocznicy nie udało mu się zrobić. Choć wypadałoby. Nikt nie wpadł na taki pomysł. Takie życie.

NASZA CODZIENNOŚĆ

Koronawirus terroryzuje naszą codzienność. Wiele spraw się unieważniło. Dlatego każda myśl skierowana w inną stronę, ku czemuś innemu, jest jak tchnienie świeżego powietrza. A tym

powietrzem może być świat ducha, który przenika do poezji, do sztuki, i ujawnia się w kontakcie z naturą. Cywilizacja już nie daje otuchy. Wszystkie jej moce okazują się bezradne. Zarazy będą zawsze o krok przed nami, zastaną nas nieprzygotowanych. Nieodpowiedzialnych za zbiorowe życie. Cywilizacja, dokonując destrukcji tego świata, który coraz mniej nadaje się do życia, więc zbliża się to, co się zbliża. Już zastanawiają się, co będzie po koronawirusie, bo przecież kiedyś pandemia ustanie. Na pewno zdemolowany świat, i dużo ludzi zbędnych, biednych, systemy finansowe legną w gruzach. Wiele nowych problemów. Zapewne i wirtualne światy stracą rację bytu, a będziemy bardziej cenić realność, a więc prawdę.

CHWILE

Zostają tylko chwile radości z powodu czyjegoś rozumienia i porozumienia się w sprawach ważnych, człowieczych i oczywiście zwyczajnych.

MALARSTWO

Na różne bóle bywają czasami skuteczne tabletki, ale i rozmowa. Rozmawiać można różnorako. Na przykład coś wspólnie oglądając. Właśnie w takim celu, żeby powiedzieć od siebie, bez słów, wysłałem Z. W. kopie elektroniczne trzech znalezionych w internecie obrazów. A on do mnie, odpowiadając w mejlu, a raczej opisując, mówi właśnie poprzez medium sztuki, że widzi obraz wrażliwego człowieka, który w swoim domowym wnętrzu jest samotny, patrzy. Splótł na kolanach ręce, krzesło obok jest puste, kogoś już nie ma, na ścianie zegar z ciężarkami, w piecu nie pali się ogień, pomieszczenie widać lekko zagrazone, ale nie zaniedbane, bo coś ciągle pobłyskuje. Na drugim obrazie dostrzegł blask nieba w wodzie i między drzewami. Na trzecim komin w bocznej ścianie domu, czyli znak obecności ludzi. I co tu jeszcze dodać. Tak patrząc na obrazy, porozumiewaliśmy się. Z takimi doświadczeniami idzie się coraz dalej, aż do tego miejsca, którego się już nie przekroczy.

Z WIERSZY NAJNOWSZYCH

* * *

*Miłość z miłości
Z oddechu oddech
Tak rodzi się śmierć
Znikąd donikąd*

*Nie inne jest
Zdanie poezji zadane
Którego celem istnienie
A raczej nieistnienie*

* * *

*Zasnij wierszu
Już wieczór
Piję ciemne wino
Samotne wino*

*Wino nie zmienia się
W senną kobietę
Noc tylko obnaża
Zbędne ramiona*

* * *

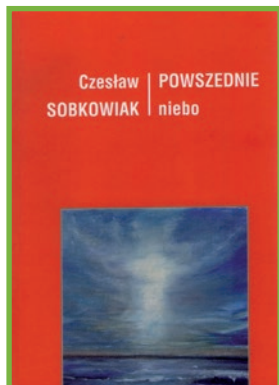
*Stało się nic
Przyszło blisko
I niewidzialne nic
I z nas drwi*

*Jakby nie było
Sprawdza każdego
Z osobna do końca
Co w nas jest*

* * *

*W tej klesce życia
Może to tylko być pierwsze
Co od ciebie po prostu
Widzę światłem*

*Światłem przyjmuję
Najtrudniejsze szare
Tu na krawędzi już
Nic innego nie wymyślę*



**PO TAKIEJ DRODZE DONIKĄD.
O IMPERATYWIE ŻYCIA
I POSZUKIWANIU BLISKOŚCI
W NAJNOWSZYM ZBIORZE
WIERSZY CZESŁAWA
SOBKOWIAKA
„POWSZEDNIE NIEBO”**

Czytelnicy poezji zielonogórskiego twórcy doskonale znają jego skłonność do zachwytu codziennością, dociekliwość w odkrywaniu nieoczywistych sensów rzeczy zwyczajnych budujących najbliższe otoczenie prostego bytu. Ta czuła obserwacja da się zauważyć także w najnowszym zbiorze, w którym niezmiennie powtarzają się motywy olśnienia, zdziwień, zauroczeń tym, co proste i szare. Antynomie zwyczajności i cudu, sacrum i profanum znajdują od lat w tej poezji swój wyraz w oksymoronicznie brzmiących tytułach „Światło przed nocą”, „Rzeka powrotna” czy „Powszednie niebo”. W adorowanej przez poetę codzienności skrzy się bowiem absolutna metafizyka, uważnym okiem wychwycona i opisana. Niezwykle bogaty jest wachlarz ujęć, którymi Sobkowiak rejestruje te swoje prywatne epifanie, choć konwencja mówienia jest u niego niezmienna. Właściwie nie odkrywa tu nowych lądów, zauważa rzeczy na pozór oczywiste, ale czyni to w sposób, który nierzadko uderza zaskakująco świeżym ujęciem, w którym unaocznia się jakiś rodzaj – i tu znowu przydaje się oksymoron – wyrafinowanej prostoty. Kontemplacja konkretnego przypomina w książkach Sobkowiaka formę filozofii życia, którą w skandynawskiej koncepcji uważności (midfullness) definiuje się jako „szczególny rodzaj uwagi, nieosądzającej i intencjonalnie skierowanej na wybrany element bieżącego doświadczenia”. Taka dogłębna obserwacja, umiejętność zatrzymania się wyzwała od awersji, lęków i innych negatywnych emocji. Sobkowiak, niczym uczeń buddyjskich mistrzów, ma świadomość, że dopuszczanie doświadczenia takim, jakie ono jest, bardziej niż jego unikanie i tłumienie, jest źródłem równowagi psychicznej. Zdaje się, że poeta wypracował w sobie jakiś rodzaj wewnętrznego schronu, stoickiej apatii, która pozwala zachować pogodę ducha mimo świadomości, że droga, którą kroczy, prowadzi donikąd.

Drugim, mocno zaakcentowanym motywem zbioru, choć w uniwersum tej poezji istniejącym od zawsze, jest kobieta – obiekt idealizacji i obsesji. Poszukiwanie bliskości z nią, głód obecności to źródło przeżywanej często w otchłani nocy tęsknoty. Poeta opisuje to wewnętrzne inferno w wielu zamieszczonych tu subtelnych, choć mrocznych, pełnych rozpaczki erotykach. Kobieta przyjmuje w tych wierszach różne ucieleśnienia: jako bliska emocjonalnie i fizycznie ukochana, z którą bohater dźwiga ciężar istnienia, ale także śniona, zgadywana po zarysie szyi czy ramion, zaledwie przeczuć, jawiąca się jak obiekt tęsknot, uporczywych myśli:

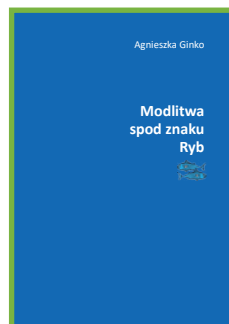
Oczy chcą zobaczyć / ręce odnaleźć / usta mieć pewność / oddychać światłem wtedy światło jest większe

Z apologią konkretnego, uważną obserwacją i czułym opisem doświadczanego świata wiąże się jeszcze jeden, niedający się pominąć, zakorzeniony w tej poezji motyw: natura jako constans świata. Niezachwiana cykliczność trwania, uporczywe odradzanie się ziemi i człowieka, różnorodność i piękno form życia to ważne punkty, w których znajduje swoje umocowanie optymizm poety. Natura bywa tłem, ale także planem pierwszym tej poezji.

Zamieszczone w tomie frazy konsekwentnie utrzymane są w klasycznej konwencji, w której słychać echa wielkich mistrzów. Nieustannie przypomina o tym inklinacja poety do inwersyjnej składni. Poezja ta jednak brzmi bardzo autentycznie, a nierzadko spotykany tu patos nie razi, jak to często w przypadku takich ujęć bywa, wykoncypowanym kunsztem.

„Są pytania i nie ma dla nich odpowiedzi” – zdaje się powtarzać poeta, który mimo wszystko potrafi odnaleźć dla siebie niebo w każdym powszednim dniu.

„Od Kruche do trwałego”



„Modlitwa spod znaku Ryb” wyrosła z żałoby i osobistego kryzysu. Zamieszczone w zbiorze utwory AGNIESZKA GINKO zaczęła pisać jesienią 2018, tomik ukończyła rok później. Teksty do poprzedniego, pierwszego zbioru „Kruche” (2017) autorka gromadziła kilkanaście lat, tworząc równocześnie literaturę adresowaną do dzieci. Te wiersze natomiast powstały szybko, u ich genezy zaś leży śmierć – odejście mamy poetki i nagłe uświadomienie sobie własnej śmiertelności. Jednakże nie ma w nich nic z pośpiechu; są poetyckim zapisem wewnętrznych poszukiwań, tęsknot, wątpliwości i równocześnie ich przezwyciężania [...]. Od kruche do trwałego, od niezgody do porządku, od rozbicia do porządku – dokonuje się poetycka synteza. Układ prezentowanego zbioru jest przemyślany i spójny. Pierwsza część jest spod znaku przeszłości, druga – teraźniejszości i ostatnia – otwierająca na przyszłość. Między pierwszym a ostatnim utworem odbywa się bowiem wędrówka. Od inicjalnej „Modlitwy spod znaku Ryb” do „Psalmu VI” następuje istotna zmiana, bo ostatni wiersz, choć wyraźnie nawiązuje do pierwszego i do pewnego stopnia powiela jego treść, to jest bardziej rozbudowany, jego tonacja wydaje się podnioslejsza, m.in. przez okalające go pochwalne dwuwersy wskazujące na odnalezienie. Pierwszy wiersz wyrażał kruchość, w ostatnim trwanie jest już inaczej postrzegane, przekształceniu ulega też metafora śmierci czy też życia-śmierci – w figurze kuglarza łączy się siła woli ze spontanicznością, iluzja z zamierzonym, wyćwiczonym działaniem, wędrowny los ze świadomym wyborem takiego sposobu bycia. Kolejną ważną metaforą w ostatnich psalmach, również związaną ze śmiercią, jest śnieg. W tym miejscu poetka nie zapyta o niegdysiejsze śniegi, lecz powie, że jeszcze lata i zimy przed nią [...]

Powstanie prezentowanych wierszy nałożyło się na czas najintensywniej przeżywanej żałoby, której konsekwencją jest oswojenie straty i emocji. Utwory w formie wypracowanej, choć niepozbawione dramatyzmu, przynoszą nastrój spokoju i wyciszenia. Wiersze nie są jednorodne, lecz spaja je podmiot mówiący – osoba, która szuka, wątpi, wykazuje postawę otwartą na transcendencję i ta postawa skutkuje. „Modlitwa spod znaku Ryb” jest zapisem duchowej drogi, którą człowiek musi samotnie przejść, by pogodzić się z tym, co nieodwracalne, i tym, co nieuchronne, odnaleźć siłę i cel.

(Fragment wstępu do tomiku, który ukaże się w 2020 r. w oficynie wydawniczej „Pro Libris”).

MODLITWA SPOD ZNAKU RYB

Daj mi słowa i siły,
żeby podchodzić w tańcu do śmierci.
Jak już to w tańcu i podskokach.
Grać w podchody ze śmiercią,
ale przychodzić tu i teraz,
sama się stawać.
Daj mi słowa i siły,
by nie przebywać za oknem i we śnie,
i w przelotnej myśli,
ale tańczyć.
Srebrne łuski oglądać.
W tańcu się stawać
i podstawić nogę nicości.
Być pełniej, połykiwać.

SYRYJSKA ELEGIA

Chcieliśmy oczyścić wojny
jak ryby z łusek,
odciąć ich ogony.
Wiją się jak piskorz, wyslizgują z rąk.
Bezradni w ogniu ekranu, gazet
pogubiliśmy się w umieraniu.
Rośnie w nas nowe Aleppo.
Szukamy światła
w wyschniętych skorupach murów.
Pestko, piłko, zardzewiały klucz,
podłogo, pobłogosław.

PSALM IV

Szczęśliwy, kto w upadku ma upodobanie
i wstawaniu z kolan, wtulony w słowo.
Jak wielu opiewa lament
i kłania się nicości!
Skapani w piwie jak Wenus
larwy, larwy widzą jeno.
Lecz to, co jest, to pozostanie
i na nic tu płacz i zgrzytanie zębów.
Jak wielu opiewa lament!
Gubią się żywi, zgubieni są umarli.
Szczęśliwy, kto w upadku ma upodobanie
i wstawaniu z kolan.
Wiatr go nie zrani, deszczu się nie złąknie,
wtulony w słowo.

PSALM V

Okryj, okryj mnie piórami,
do jasności mnie prowadź,
gdy pokusa liże stopy.
Bo wróg śledzi nas pod mikroskopem
i z pęsetą w dłoni.
I nie będzie się z nami cackał.
Wystarczy jeden podpis
własną krwią.
A w zamian życie all-inclusive
i full wypas.
Ale nie będzie się z nami cackał.
I dusza do kapelusza,
a kapelusz fik i znikł.
Okryj, okryj mnie piórami,
gdy pokusa liże stopy.
Do prawdy prowadź
prostej jak dłoń dziecka.

RZEKAMI OD RZECZY DO RZECZY

Mówią że cierpienie ma swój czas i przestrzeń. Tak jest
dziś na Zamenhofa. A mogłoby tu być duże podwórko
z placem zabaw. Rozdymałby się na nim nadmuchiwany
zamek i dzieci uderzałyby ze śmiechem w barwne gumowe ściany.
A brunatny byłby jedynie niebrudzącym kolorem spodu.

Gdyby Żyd od mc kwadrat odkrył jak zagiąć czasoprzestrzeń?
Mógłbym wykorzystać wyćwiczony fonetycznie niemiecki
i wtargnąć ze standardową formułą. Guten tag. Wo ist dajne sztrase.
Ich zuche familien Hitler w dwudziesty kwietnia 1889 roku
do Braunau am Inn i na Salzburger Vorstadt 219 wbiec do pokoju
małego Adolfa zanim umieści w główce plany na Auschwitz
znaleźć pod poduszką ostateczne rozwiązanie jego kwestii.
I na pierwszej stronie ichniego Spiegla zostawić mieszkańcom
wytłuszczone wielką czcionką nurtujące pytanie.
Co ten chłopczyk był komu winny?

A może humanitarnie w Linz am Donau podszedłbym
do nastoletniego Adolfa który smutny akurat szedł do szkoły
i podarowałbym mu zapas mydła. Żeby pachniał w pierwszej
ławce był lubiany dostał promocję i pokochał to miasto.
Żeby w nim osiadł.

Albo w Wien am Donau – opłaciłbym mu małą galerię
żeby zachwycał akwarelami jako zdolny absolwent
miejscowej Akademii der bildenden Künste któremu górskie pejzaże
schodzą jak świeże bułki. I niechby wyrastał na chlubę Bawarii.
Kupił dom w Berghof rozwijał w nim swój talent.
Szkiełkował na tarasie portret brzemiennej żony która głaszcze
ich łaszącego się psa. Wtedy może w Berlinie an der Spree
dwudziestego dziewiątego kwietnia 1945 otwierałby swój wernisaż
i z radości przygryzał wargi bo w kolejce już czekałby Landsberg
przez który nadal płynęłaby Warthe.

Gdyby ten Żyd od mc kwadrat odkrył taki sposób – mój tata
nie spotkałby mamy. A ja bym nic takiego z żalem nie pisał.

Beata Patrycja Klary z „MARTWII” Social Credit System

Masz mnie czasem w chmurach, a czasem w pościeli. Doustną, dosłowną,
Bez żadnych metafor. W zależności od potrzeb widzimy się w dole lub na
Wielkiej Górze. Im wyżej, tym bardziej boli.

Przegryź sobie – karmisz mnie, zapelniasz, a kiedy nie łykam masz małego
Focha. *Już jej nie smakuje? Co to ma być? Jak tak dalej pójdzie musimy się
Rozstać.* Albo częściej stać.

Owuluję zbyt szybko. W rytmie całodobowym wypycham z siebie myśli.
Można je zapładniać pełnymi zdaniem. Patrzyć jak na gniazda jaskółcze w
Ciemnym świetle nocy. Czuć ich lepką ślinę, która jest spoiwem.

Tu jestem wyliczona. Tam pokryta. Gdzie indziej zmasowana. W krzakach
Mam status liścia. W rzece jestem dzbanem. Kiedy krzyczysz chodnikiem
Zalegam w podłogę. Niewiele mi brakuje by zostać robakiem.



11 GRUDNIA 2019, GORZÓW, WiMBP, PEGAZ LUBUSKI PO RAZ CZWARTY W 2019 ROKU

Była to kolejna (79.) promocja czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” w Salonie Literackim im. Z. Morawskiego pięknej gorzowskiej Książnicy.

Gospodarzem spotkania był, jak zwykle, red. naczelny, prezes ZLP O/Gorzów **Ireneusz K. Szmidt**, który zaznaczył, że spotkanie to ma trzech bohaterów: nowy tomik poety ks. **Jerzego Hajdugi** pt. „Listy na stół”, książkę z podróży Marka Bucholskiego „Podróż do kraju Maghrebu” (Tunezja, Maroko) i upominek od wydawcy i autora na Mikołaja i pod choinkę, opowiadania pt. „Drzazg” **Artura Wodarskiego**. Książkę tę wydał w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego Oddział ZLP w Gorzowie dzięki środkom finansowym UM Gorzowa, w ramach konkursu ofert na 2019 rok dla organizacji pozarządowych z udziałem kosztów własnych autora i wydawcy. Każdy obecny na promocji otrzymał ją w upominku. Można było też zakupić nową książkę dla dzieci starszego autorstwa **Jolanty Karasińskiej** pt. „Kolorowe miesiące”, z której trzy wiersze zamieszczone są w tym numerze czasopisma.

Minutą ciszy uczczono odejście na niebieskie połoniny znanego gorzowskiego fraszkopisarza **Tadeusza Szyfera**.

Promocja rozpoczęła się słowem wstępnym wygłoszonym przez **Jerzego Alskiego**, który stwierdził, że pomysł na napisanie felietonu pt. „Pewien wątek” narodził się w czasie pisania kolejnej powieści. Mówił też o swojej jeszcze cieplej powieści „Ekosystem” i przeczytał jej fragmenty.

W tym numerze „Pegaza” znajduje się opowiadanie **Marka Stachowiaka** pt. „Miejsce na końcu języka”, nagrodzone pierwszym miejscem w Barlineckim Konkursie Literackim „O Łabędzie Pióro” im. Romany Kaszczyk. Jest fragment nowej powieści **Haliny E. Daszkiewicz** „Matylda, czyli pora na życie” zatytułowany „Wigilia Narodów. Jak błędne owce”.

W tym numerze „Pegaza” znajdziemy wystąpienia goszczących na konferencji II Gorzowskiej Herbertiady pań profesor **Małgorzaty Mikołajczak** i **Katarzyny Taborskiej** oraz utwory kolegów zza miedzy, o których w „Zapiskienniku niecodziennym” pisze **Czesław Sobkowiak**. **Krystyna Kamińska** w ramach cyklu „Nowe książki lubuskie” pisze o „Ekosystemie” **Jerzego Alskiego**, o „Zeszytach Bibliograficznym” ZLP w Zielonej Górze poświęconym **Eugeniuszowi Kurzawie**, o pierwszym numerze rocznika „Custodia”, wydanym przez Muzeum im. J. Dekerta w Gorzowie. I jeszcze o trochę zdezaktualizowanych „Gorzowskich bohaterach”, książkę wydanej przez Stowarzyszenie „Manufaktura” z bohaterami, z którymi posłanka **Krystyna Sibińska** spotykała się w „Teletopie”. I na

koniec o kolejnym numerze młodego czasopisma pt. „LandsbergOn”.

Artur Wodarski mówił o swojej najnowszej książce pt. „Drzazg”, m.in., że zawarte w książce opowiadania to dorobek prawie trzech lat. Mają one wspólny mianownik, a myślą przewodnią opowiadań jest książka i film pt. „Drzazg”. Większość opowiadań pokazuje człowieka – bohatera w określonych sytuacjach. Wzorował się na różnych znanych sobie postaciach, ale jest też dużo treści będącej fikcją literacką. Autor ma już w dorobku trzy tomy wierszy i powieść „Rzeka przemienienia”. W 2012 roku za pierwszy tomik wierszy otrzymał wyróżnienie jako debiutant w ramach Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W książce „Drzazg” znajdują się ilustracje **Jacka Laudy**. Autor ma w planach nowy tomik poetycki pod roboczym tytułem „Pewnego razu w...”.

Na tej promocji było jeszcze o warsztatach literackich, które w II LO dla uzdolnionej młodzieży prowadzi polonistka **Aneta Gizińska-Hwozdyk**. I o warsztatach we wsi Długie z udziałem prezesa ZLP, o wojażach **Marka Bucholskiego** po Tunezji i Maroku i planach, o wycieczce w Góry Skaliste w Kanadzie. Są też różne wiadomości literackie. Swoje wiersze czytali: **Jolanta Karasińska**, **Janina Jaszka Jurgowiak** i **Fred Głodzik**.

Na zakończenie spotkania życzenia wspólnoty i serdeczności w tej wspólnocie oraz tego, aby nie bać się czułości, której brak nawet w poezji, złożył poeta ks. **Jerzy Hajduga**. I był jak zwykle na grudniowych promocjach opłatek przywieziony przez niego z Drezdenka.

Spotkanie zakończyło się wierszem ks. **Jerzego Hajdugi**:

*Meble przytulone do ściany
cokolwiek można odsunąć*

*dwa krzesła o jedno za dużo
a może stół wieczerzy się
bliżej okna
ze mną*

10 GRUDNIA 2019, GORZÓW, KLUB „JEDYNKA” SPOTKANIE LITERATÓW „A KSIĄŻKI ZOSTANĄ”

Był to ważny dzień dla polskiej literatury. Nasza polska pisarka **Olga Tokarczuk** tego dnia odbierała Nagrodę Nobla. I tego właśnie dnia **Beata P. Klary** zaprosiła kilku gorzowskich literatów, aby podsumowali swoją dotychczasową działalność literacką i nakreślili najbliższą przyszłość.

W spotkaniu udział wzięło siedmiu autorów:

Jerzy Alski, prozaik, eseista, felietonista, krytyk, członek gorzowskiego Oddziału ZLP, z zawodu lekarz. Z gorzowskim środowiskiem literackim związany od 2011 roku. W tym samym roku debiutował powieścią „Za dużo miłości”. Ma już w swoim dorobku osiem książek. Współpracuje z czasopismem literackim „Pegaz Lubuski”. Na spotkaniu w klubie czytał fragmenty swojej ostatniej powieści pt. „Ekosystem”. Píše kolejną powieść.

Roman Habdas, poeta i prozaik, miłośnik wędkowania i filmowania. Dwukrotnie wyróżniony (2002 i 2012) w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Z. Morawskiego. Z zawodu technik technologii żywienia. Swoją pierwszą tomik poetycki pt. „W ramionach Drawy” wydał w 1995



roku. Jest autorem tekstów do Drogi Krzyżowej w Hospicjum w Wilnie (rzeźby Jerzy Gąsiorek/Gąsior). W 2015 roku wydał swoją pierwszą prozatorską książkę pt. „Mały Paryż”. W roku 2019 ukazały się „Żgajoki i inne opowiadania”. Pracuje nad dalszym ciągiem tej książki. Fabułę opiera na faktach, znajduje się teraz na etapie zbierania materiałów. Jest członkiem RSTK i ZLP. W swoim dorobku ma już siedem książek.

Krystyna Caban, poetka. Debiutowała w 1991 roku. Z zawodu elektromechanik, obecnie na emeryturze. Swój pierwszy tomik „Nie goście ognia” wydała w 1998 roku. Piśmienniczo fascynacja mężczyzną. O zdradach, rozstaniach, miłości, przyrodzie i rodzinie. Na swoim koncie ma już dziewięć tomików poetyckich. Ostatni, który wyszedł w 2019 roku, dedykowała swojemu partnerowi. Od 1984 roku jest członkiem RSTK, a od 2004 roku ZLP w Gorzowie. Była członkiem Klubu Literackiego „Poetów Okrągłego Stołu”.

Marek Stachowiak, poeta. Laureat wielu konkursów poetyckich. Debiutował (po pięćdziesiątce) w 2019 roku tomikiem „Tata jest od tego”. Wiersze jego to krótkie historie, ukazujące relacje ojciec – syn. Opowiadają o tym, co jest dobre, a co jest złe. Choć wydał dopiero pierwszy tomik, odłożył pisanie wierszy i zajął się pisaniem prozy. Jego opowiadanie „Miejsce na końcu języka” w 2019 roku otrzymało pierwszą nagrodę w Barlineckim Konkursie Literackim „O Łabędzie Pióro” im. Romany Kaszczyk. Pisze nową książkę.

Marek Lobo Wojciechowski, poeta. Zawodowy żołnierz, emerytowany od 1995 roku. Jego pierwsze tomiki „Z wędrówek po okolicy” i „Suplement” powstały w 2006 roku. Za tomik „Ektoplazma” wydany przez Oddział ZLP w Gorzowie w 2009 roku otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki. Dopiero w 2017 roku ukazał się jego kolejny tomik. A najnowszy z 2019 roku nosi tytuł „Dzień kreta”. Był jednym z pomysłodawców i współorganizatorem trzech edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego „Warta”. Był członkiem Klubu „Poetów Okrągłego Stołu”. Póki co, odkłada pisanie poezji i pisze powieść. Mocnym, męskim językiem.

Ireneusz K. Szmidt, poeta, dramaturg, dziennikarz, reżyser i krytyk teatralny. W ZLP od 1965 roku. Debiutował w 1954 roku. Jest założycielem i prezesem Gorzowskiego Oddziału ZLP (od 2004 r.). Jest też laureatem (2005) Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za tomik „Ludzkie pojęcie” i nagrody prezidenta Gorzowa – Motyla (2010). Pomysłodawca czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski”, którego jest red. naczelnym. Przez ponad 15 lat prowadził warsztaty literackie „Poetów Okrągłego Stołu”. Jest autorem wielu tomików poetyckich, opracowań, almanachów i antologii. Także redaktorem i wydawcą. W 2020 roku obchodzi 65-lecie swojej twórczej działalności.

Beata P. Klary, poetka, recenzentka, felietonistka, fotograficzka i animatorka kultury. Debiutowała jako nastolatka. Po latach ponownie odbył się jej debiut na łamach czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski”, z którym obecnie współpracuje. Dwukrotnie (2011 i 2015) zdobyła Lubuski Wawrzyn Literacki. Jest jedną z pomysłodawczyń i realizatorek Festiwalu Poetyckiego im. K. Furmana oraz wielu spotkań z literatami. Stypendystka Ministra Kultury i Prezydenta Miasta. Kolejny jej tomik ukazał się w 2019 roku, nosi tytuł „Martwia”. Wiersze w tym tomiku to jak krótkie, czarno-białe flesze, które opowiadają zwykłymi słowami o trudnym życiu dziecka. Była członkiem Klubu „Poetów Okrągłego Stołu”.

Gościem spotkania była Anna Świdorska, która napisała i samodzielnie wydała (w jednym egzemplarzu) książkę pt. „13-go, w piątek”. Opowiada w niej o własnym wypadku samochodowym przed 18 laty i o życiu po życiu. Szuka pomocy redakcyjnej i finansowej.

Pełne, aktualne biografie 68 poetów i pisarzy gorzowskich zawiera wydany w ostatnich dniach ub. roku nowy almanach „Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza” (patrz s. 24-25)

**28 STYCZNIA 2020, KLUB „NA ZAPIECKU”, w INNEKO.
SPOTKANIE z KRYSYŃĄ KAMIŃSKĄ pt. „TAJEMNICE ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO”**

Krystyna Kamińska, dr nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki, dziennikarka, popularyzatorka gorzowskiej literatury, redaktorka i autorka wielu książek. Organizatorka spotkań literackich. Laureatka gorzowskiego „Motyla”. Od dwóch lat zajmuje się przekazaniem do WiMBP przez rodzinę Zdzisława Morawskiego archiwum tego gorzowskiego poety i prozaika, dramaturga, działacza społecznego, który żył i tworzył w naszym mieście w latach 1950-1992. Przeczytała już prawie pięć tysięcy stron maszynopisów powieści, opowiadań, sztuk teatralnych, scenariuszy słuchowisk i różnych zapisków. Na spotkaniu swoją opowieść o pisarzu ilustrowała fotografiami. Opowiadała fabułę niektórych książek. Mówiła, że autor bardzo różnie interpretuje przeszłość. Akcja większości jego utworów dzieje się w Gorzowie albo w jego okolicach.

W archiwum znajduje się także 31 tomów „Zapisków codziennych” obejmujących lata 1971-85. Są one jednak zastrzeżone.

Zdzisław Morawski w swoich książkach opowiada o środowisku inteligencji, o osadnictwie, o relacjach polsko-niemieckich, także o tzw. moralności socjalistycznej. Czasem w tonie satyry czy groteski. W utworach z lat 60. i 70. wraca tematyka wojny. W latach 80. napisał powieść pt. „Pałac ślubów”, książkę o rodzeniu się „Solidarności” w Gorzowie. Fragmenty tej książki dotyczące pierwszego zjazdu „Solidarności”, z punktu widzenia władz miasta w owym czasie, czytała aktorka Anna Łaniewska.

Na zakończenie prowadząca „Zapiecek” Barbara Schroeder zaproponowała loterię książkową, w której można było wygrać zbiorowe wydanie wierszy Zdzisława Morawskiego pt. „Rzecz o doręczności” lub jego powieść „Każdy miał wakacje”.

**7 LUTEGO 2020, WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. Z. HERBERTA W GORZOWIE
SPOTKANIE AUTORÓW I WYDAWCÓW PUBLIKACJI REGIONALNYCH**

Prezentacja autorów i wydawnictw z dziedziny nauki, literatury pięknej dla dzieci i dla dorosłych oraz różnego rodzaju folderów – wszystko o tematyce naszego regionu, Ziemi Lubuskiej. Był też kiermasz książek.



**W DNIACH OD 11 DO 29 LUTEGO 2020
WYSTAWA „HISTORIA BIBLIJ – KSIĘGA, KTÓRA
PRZETRWAŁA WIEKI”**

Był to projekt fundacji „Areopag”, pozwalający prześledzić prawie trzy i pół tysiąca lat historii Pisma Świętego.

Na wystawie znajdowały się repliki kamiennych tablic z Dekalogiem, w glinianych dzbanach reprinty kilkumetrowych zwojów rękopiśmiennych z Qumran znad Morza Martwego. Można było rozwinąć kopię Tory, zobaczyć zapisane papirusy i faksymile pierwszych wydań Biblii w języku angielskim, greckim, niemieckim, polskim, a także pisane po łacinie i w języku hebrajskim.

Po wystawie oprowadzał jej pomysłodawca i wykonawca Dariusz Czystoch oraz kilku jego pomocników.

26 lutego w Willi Lehmana odbyło się spotkanie pod hasłem „Hebrajska retoryka biblijna. Czytanie tekstu”. Pomysłodawca wystawy przedstawił reguły czytania Pisma Świętego.



20 LUTEGO 2020

**„PRZYJADĘ DO CIEBIE NA PIĘKNYM KONIU”
– SPOTKANIE Z REPORTAŻEM RADIOWYM,
AUTORSTWA IZABELI PATEK, GORZOWSKIEJ
DZIENNIKARKI RADIA „ZACHÓD”**

Reportaż poświęcony był Irenie Dowgielewicz, w 33. rocznicę śmierci pisarki i poetki, która mieszkała i tworzyła w Gorzowie w latach 1950-1987.

W reportażu usłyszeliśmy wspomnienia osób, które Irenę Dowgielewicz znały osobiście, m.in. Janusza Dreczki i Kazimierza Ligockiego. Krystyna Kamińska stwierdziła, że książki Ireny Dowgielewicz są bardzo dobrze napisane, poruszają prawdziwe i ważne problemy, mówią o okolicznościach zmuszających do trudnych wyborów i o zwykłym życiu w czasie wojny. Elżbieta Skorupska-Raczyńska, specjalistka w zakresie językoznawstwa, zwróciła uwagę na to, że w dorobku Ireny Dowgielewicz widać wielką siłę autorki i mistrzostwo w operowaniu słowem. Szczególnie jest to widoczne w opowiadaniach, które oddają kunszt pisarki. Małgorzata Barczyńska-Kowańdy z kolei poinformowała o zasobach bibliotecznych dotyczących autorki. W Dziale Zbiorów Specjalnych WiMBP znajduje się bardzo dużo różnych dokumentów. Są to fotografie, róż-



ne wersje życiorysu, korespondencja z Januszem Koniuszem, wiersze, opowiadania. Jest to kopalnia wiedzy, która czeka na fachowe opracowanie. Był też apel z sali, aby wprowadzić do szkół lekcje dotyczące naszych rodzimych pisarzy i poetów. Zaproponowano stworzenie audiobooka z twórczością Ireny Dowgielewicz. Zwiastunem popularyzującym twórczość pisarki były na pewno lekcje czytania jej opowiadań w szkołach w Witnicy, gdzie pracowała Irena Dowgielewicz, o czym poinformowała Janina Kaliszan. Teksty w reportażu czytał aktor Artur Nelkowski. Na spotkaniu wspomniano Annę Makowską-Cieleń, wielką propagatorkę twórczości tej pisarki. Przy

domu autorki znajduje się kamień ku jej pamięci z płaskorzeźbą autorstwa Zofii Bilińskiej. Jest też ulica nazwana jej nazwiskiem. Zaproszono na doroczne spotkanie przy grobie pisarki w dniu jej śmierci – 21 lutego.

21 LUTEGO 2020

**SPOTKANIE PROMUJĄCE KSIĄŻKĘ
„LEGENDY GORZOWSKIE” AUTORSTWA
ANDRZEJA WALEŃSKIEGO**



„Legenda (za Wikipedią), coś, co należy przeczytać, coś do czytania. Opowieść albo zbiór opowieści o postaci, czy postaciach historycznych (lub uważanych za historyczne). Zazwyczaj przekazywane w formie ustnej na długo przed utrwaleniem na piśmie. Legendy opowiadają o mędrcach, świętych, władcach, politykach, wojownikach. Składają się często z nieprawdopodobnych lub nierealnych motywów. Współcześnie składają się z biograficznych plotek i anegdot dotyczących bohaterów kultury masowej”.

Książka Andrzeja Waleńskiego to 18 legend o miejscach i ludziach związanych z Gorzowem. Znajdziemy tu m.in. legendy o schodach donikąd, o żuźłowcu E. Jancarzu, o ks. J. Andrzejewskim, o romskiej poetce Papuszy.

Rysunki wykonał Zbigniew Olchownik.

W spotkaniu także udział wzięli: Janusz Markuszewski, kompozytor muzyki do piosenek znajdujących się w tym wydawnictwie, Tadeusz Woliński – wykonawca tych piosenek i aktor Bartosz Bandura, który czytał legendy.

25 LUTEGO 2020

SPOTKANIE Z PROF. JERZYM BRALCZYKIEM

Na to spotkanie przyszyły tłumy. I choć dotyczyło spraw poważnych, odbywało się w bardzo lekkiej atmosferze z różnymi zakrętasami i zabawnymi puentami. Zabawnie było już przy przedstawieniu pana profesora... Mimo tej lekkiej atmosfery wykład odbył się w poważnym tonie. Jerzy Bralczyk jest autorem kilku książek, m.in. „Kiełbasa i sznurek” (rozmowa z Michałem Ogórkiem), „Pokochawszy” (rozmowa z żoną). Tu autor dodał, że jest to rozmowa o miłości albo o miłości w języku. I o książce, w której rozmawia z Miodkiem i Markowskim. Wyjaśnił także, że rozmowa to zazwyczaj są pytania i odpowiedzi albo wymiana myśli. Przedstawił kilka przykładów, jak zwykle rozpoczynamy jakąś rozmowę. Dał przykład przemówienia (królującego np. na spotkaniach w TV). Aby mówić dużo, ale nie powiedzieć nic konkretnego, wyrażać ubolewanie, np. z powodu braku czasu, mówić tak, aby nie odpowiedzieć na pytanie... I nie pozwolić na ingerencję prowadzącemu program.

A tak na koniec: Trzeba mówić do ludzi, a nie ludziom. Siłą w mówieniu jest artykulacja. Powinniśmy rozmawiać, aby rozmawiać. A nie w określonym celu. Najważniejszy jest kontakt: abyśmy byli razem.



25 LUTEGO 2020, GORZÓW, KLUB „JEDYNKA” SPOTKANIE Z GRUPĄ POETYCKĄ „DESANT” z SIERADZA

Gościliśmy trzy panie: **Joannę Chachulę, Agnieszkę Jarzębowską i Magdalenę Olejnik.**

Beata P. Klary, która jest pomysłodawcą spotkań literackich w tym Klubie, zmieniła trochę formułę spotkań. Zapowiedziała, że będzie to cykl GrupaLITER, obejmujący kluby literackie działające w różnych środowiskach w kraju.



Grupa Poetycka „Desant” powstała w 2014 roku. Jej członkowie spotykają się raz w miesiącu w Centrum Informacji Kulturalnej w Sieradzu. Do grupy należy 10 osób. Na spotkaniach wymieniają się uwagami i omawiają wzajemnie swoją twórczość. Członkowie grupy uczestniczą w różnych imprezach i festiwalach poetyckich w kraju. Współorganizują także rodzimy festiwal pn. „Noc Poezji i Muzyki”, do udziału w nim zapraszają uznanych twórców. Podczas spotkania każda z pań opowiedziała o swojej twórczości, a następnie zaprezentowała kilka wierszy.

22 LUTEGO 2020, W URZĘDZIE MIASTA GORZOWA WRĘCZONO STYPENDIA ARTYSTYCZNE



O stypendia ubiegały się 23 osoby. W tym roku przyznano ich 21. W kategorii **teatr** – aktorowi **Bartoszowi Bandurze**. W kategorii **animacja i edukacja teatralna** – **Mai Elżbiecie Wilczewskiej**, w kategorii **literatura**: **Pawłowi Łęczukowi, Wandzie Milewskiej i Bernardowi Tadeuszowi Wolińskiemu**. Dziesięć stypendiów przyznano w kategorii muzyka, jedno w kategorii taniec, jedno w kategorii film, jedno w kategorii animacja i edukacja kulturalna, jedno w kategorii sztuki wizualne i jedno w kategorii opieka nad zabytkami.

Ewa Rutkowska

Z KRONIKI WiMBP

Biblioteki zamknięte aż do odwołania

Od 5 marca najpierw na podstawie decyzji prezydenta miasta Gorzowa, a potem rządu, wszystkie biblioteki w mieście są zamknięte aż do odwołania. Odwołano także wszystkie planowane imprezy. W ten sposób przeciwdziałamy szerzeniu się koronawirusa, który opanował świat.

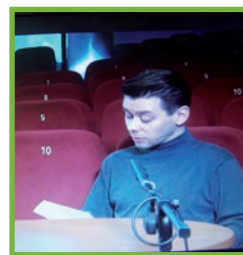
Więcej kodów Legimi

WiMBP co miesiąc oferuje czytelnikom nieodpłatnie kody Legimi, które umożliwiają lekturę 500 tysięcy książek w systemie elektronicznym. Wystarczy zalogować się, wpisując numer kodu, aby na laptopie, tablecie, czytniku lub telefonie czytać, a także słuchać rozmaitych nowości polskich i zagranicznych. Po zamknięciu bibliotek dla czytelników dyrekcja WiMBP zdecydowała o zakupie większej liczby kodów, ale pod koniec miesiąca i tak ich zabrakło. To bardzo wygodna forma lektury, tyle że trzeba co miesiąc ponawiać rejestrację kodów.

„Herbert-TV”

Na stronie internetowej www.wimbpgorzow.pl można zobaczyć rozmowy z pracownikami biblioteki. Miała je prowadzić Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, ale zapowiedzi marcowe okazały się nieaktualne, ponieważ biblioteka została zamknięta. Na pewno w kolejnych miesiącach można będzie szerzej dowiadywać się o nowościach oraz w ten sposób odwiedzać np. filie.

W ramach „Herbert-TV” – jak tę nową formę nazwała prowadząca, można także posłuchać fragmentów „Złego” Leopolda Tyrmanda, które czyta aktor Teatru im. J. Osterwy **Bartosz Bandura**. Tę formę nazwano „Czytanie bez publiczności”. Dyrektor Sławomir Szenwald zaprasza wszystkich czytelników do rejestrowania własnego głośnego czytania i obiecuje prezentację najlepszych filmów na stronie biblioteki.



„Uczta dla ucha”

Codziennie od poniedziałku do piątku w godz. 10:00-19:00, a w soboty od godz. 10:00 do 15:00 w holu głównym Biblioteki Herberta można było i na pewno można będzie słuchać najciekawszych audiobooków. Ich tytuły podawane są na stronie internetowej biblioteki oraz na plakatach.

„Mała książka – wielki człowiek”

WiMBP im. Z. Herberta przystąpiła do akcji zorganizowanej przez Instytut Książki. Każde dziecko/czytelnik w wieku przedszkolnym (3-6 lat), które przyjdzie do biblioteki, otrzyma w prezencie wyjątkową „Wyprawkę Czytelniczą na dobry czytelniczy start”. W Wyprawce znajduje się książka pt. „Pierwsze czytanki dla...”, dostosowana pod względem formy i treści do potrzeb przedszkolaka. Dzieci otrzymają również specjalną Kartę Małego Czytelnika. Za każdą wizytę w bibliotece, zakończoną wypożyczeniem minimum jednej książki z księgozbioru dziecięcego, Mały Czytelnik otrzyma naklejkę, a po zebraniu 10 zostanie uhonorowany dyplomem. Biblioteka miała do rozdania 500 wyprawek, więc pewnie jeszcze trochę zostało.



Z KRONIKI WiMBP

„Herbatka u Herberta”

Tak nazwano grę edukacyjną, podczas której, wykorzystując nowe technologie, czyli internet i smartfon z możliwością czytania kodów QR, można poznać bibliotekę. Na przykład: w jaki sposób poruszać się po bibliotece, co nazywamy rewersem i jak go wypełnić, do czego służy katalog OPAC i jak dzięki niemu znaleźć książkę na półce, jak rezerwować zbiory i korzystać z Selfchecka. Realizując kolejne etapy zabawy, jej uczestnicy dowiadują się, gdzie znajdują się poszczególne działy biblioteki i co można w nich znaleźć. W zabytkowej willi odwiedzają Salon Bronisławy Wajs-Papuszy i Gabinet Christy Wolf, także regionalny salon sztuki, zbiory specjalne. Na zakończenie można sprawdzić zdobytą wiedzę w quizie, a zwycięzcy otrzymują nagrody. 19 lutego br. w lekcji (grze) mobilnej „Herbatka u Herberta” udział wzięły uczennice klasy pierwszej Akademickiego Liceum Mistrzostwa Sportowego. Biblioteka zaprasza kolejne klasy do zabawy i poznawania pracy Książnicy.

Dzień Pamięci i Pojednania

30 stycznia 2020 r. w WiMBP odbyła się część gorzowskich obchodów Dnia Pamięci i Pojednania. Z racji okrągłego jubileuszu 25-lecia tych obchodów Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta opracowało i wydało album je upamiętniający. Biblioteka Herberta natomiast promowała wydawnictwo poświęcone przedwojennemu landsberskiemu działaczowi społecznemu, przedsiębiorcy i politykowi, Maxowi Bahrowi, wydając przetłumaczoną część jego wspomnień w książce pt. „Max Bahr – społecznik, polityk i przedsiębiorca. Wspomnienia z lat 1848-1926”, red. M. Czabańska-Rosada, G. Kostkiewicz-Górska, P. Leszczyński.

Przed przekazaniem książek gościom – dawni mieszkańcy Landsbergu i ich potomkowie oraz gorzowianie, wysłuchali okolicznościowych prelekcji, które wygłosili Agnieszka Dębska, dr Falko Neiningen i dr hab. Paweł A. Leszczyński. Wśród zgromadzonych na sali zasiadali krewni znanych landsberczyków – Jürgen Bahr (prawnik Maxa Bahra) i Lennard Bahr (praprawnuk Bahra), Matthias Lehmann (prawnik Gustava Schroedera), Wolfhart Paucksch (prawnik Hermanna Pauckscha).

O gorzowskiej katedrze

W styczniu i w lutym odbyły się dwa spotkania z Michałem Jarosińskim, dyplomowanym konserwatorem odpowiedzialnym za nadzór nad pracami w katedrze. Uczestnicy mogli się dowiedzieć, jakie tajemnice odkryła przed konserwatorami katedra. Przedstawiona przez Michała Jarosińskiego dokumentacja fotograficzna ukazała szczegółowo wtórne nawarstwienia, które pojawiły się w katedrze na przestrzeni XX wieku. Bogaty materiał fotograficzny doskonale współgrał z opowieścią prowadzącego. Planowano jeszcze spotkanie w marcu oraz obejrzenie prac w budynku katedry, ale na razie te zajęcia trzeba było odwołać.

Inne zdarzenia z WiMBP prezentujemy w „Kronice kulturalnej”

MODLITWA

Ojcze
nas wszystkich
gór i ziół
istot wielkich i małych
Ojcze
któryś jest byłeś i będziesz
nawet
kiedy nic już nie będzie
niech się święci Twoje imię
Twoja jasność i cień
Twój ślad na Ziemi
Twoja wszystkość i nicność
każda noc i dzień
królestwo Twoje i bezkrólewie
Twoja wola i niewola

daj nam chleba i źródlanej wody
byśmy żyli w zgodzie
chroń nas od głodu i pożogi
od głupoty naszej i podłości
od zła naszego i niegodziwości

BŁĄDZENIE

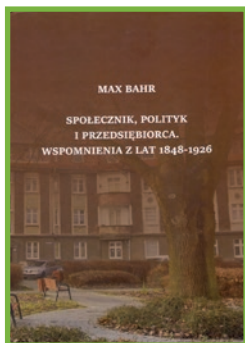
Wysiadłam za daleko
o jedną stację metra,
teraz błądzę w labiryncie
nieznanych obrazów.
Z każdej nieparzystej strony
osaczyły mnie zagadki,
jak mam trafić do siebie
bez nici Ariadny,
gdy rodzi się noc
i trwoga.

* * *

Nocne wiersze
zaledwie pomyślane
znikają za rogiem ciemności.
Nie dogonię,
pęta mnie moja cielesność.

WYŚNIONY WIERSZ

Rozwiesiłam letnie sny
jak kwiaty
główkami w dół.
Niech wyschną,
niech się zasuśszą.
Będę nimi stroić zimą
pokoje mojej wyobraźni.



JANUSZ WŁODARCZYK (Myślibórz)

LALKA

Wydawało się, że to będzie kolejny, zwykły, słoneczny dzień. Niezbyt gorący, mimo iż był to środek lata. Błękit nieba zakłócały tylko nieliczne białe, pierzaste chmurki i smugi kondensacyjne pozostawione przez przelatujące samoloty. W rozległej dolinie leżało sobie miasto, a w samym jego centrum znajdował się wielki park. Oaza ciszy i spokoju. No, może trochę przesadziłem z tą oazą ciszy. Prawda była taka, że park przylegał do jednej z głównych ulic wielkiego miasta. Jednak drzewa i wysokie żywopłoty znakomicie wytłumiały hałas przejeżdżających pojazdów. Ludzie, przychodzący tu odpocząć, byli tak przyzwyczajeni do gwaru i hałasu miasta, że zdawali się nie słyszeć tych nielicznych wielkomiejskich odgłosów. Dla nich w parku było cicho. Niektórzy słyszeli nawet ćwierkot ptaków, jeśli nie mieli akurat słuchawek na uszach.

Jak już wspominałem, był to jeden z tych wielu zwykłych słonecznych dni. Ludzie zaganiani, zabiegani, zajęci swoimi sprawami, nie zwracali zbytnej uwagi na otoczenie. Jedni przemykali się chyłkiem przez park, chcąc sobie skrócić drogę z jednego krańca miasta na drugi. Z poważnym wyrazem twarzy, z telefonem przyklejonym do ucha załatwiali swoje jakieś bardzo ważne służbowe sprawy, niecierpiące oczywiście zwłoki. Czasem trafiał się ktoś idący z uśmiechniętą, radosną twarzą. Zapewne flirtował z ukochaną albo słuchał akurat dowcipu, jaki opowiadał mu znajomy dla zabicia czasu na drugim końcu słuchawki. Przechodzących wymijali kurierzy na rowerach, dostawcy przesyłek ekspresowych. Pędząc po wydzielonych ścieżkach dla rowerzystów, wyszukiwali w swoich przenośnych nawigacjach najkrótszą drogę do odbiorcy przesyłki. Było to czasem powodem drobnych kolizji z innymi użytkownikami. Najczęściej kończyło to się lekkimi potłuczeniami, chociaż park pamiętał naprawdę groźne w skutkach wypadki, które trafiały potem do wieczornych wiadomości lokalnej telewizji.

Wróćmy jednak do parku. Pod jednym z drzew, w jego cieniu, na rozłożonym kocu leżała przytulona do siebie para zakochanych. Oglądali na tablecie jakiś film. Musiał być to naprawdę interesujący film. Młodzi, zafascynowani historią, jaką oglądali na ekranie, nie zwracali uwagi na wiewiórkę, która nieśmiało skradała się do ich koszyka z prowiantem, łakomie zerkając na znajdujące się w nim smakołyki.

Bliżej środka parku człowiek w białym kostiumie ze słuchawkami od odtwarzacza mp3 wetkniętymi w uszy, trenował uderzenia piłek kijem golfowym w kierunku specjalnego urządzenia z siatką wychwytyującą piłki. Automat pokazywał na monitorze prędkość piłki i przypuszczalną trajektorię jej lotu. Szło mu to całkiem nieźle, wszystkie piłki lądowały w siatce. Tylko jedno gryzło golfistę: brak publiczności, która mogłaby podziwiać jego mistrzowskie uderzenia. Nagrane na odtwarzaczu okłaski kibiców nie dawały mu pełnej satysfakcji. Ale jak to mówią, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Nieopodał znajdował się piękny plac zabaw dla dzieci otoczony ławkami. Były na nim większe i mniejsze ślizgawki, kilka huśtawek, trzy karuzele, mini małpi gaj i drabinki, na których można było się wieszać i kręcić fikołki. Była też wspaniała piaskownica z żółciutkim piaskiem, w której jakiś chłopczyk cierpliwie kopał wielki dół. I tylko on jeden ba-

wił się na placu zabaw. Pozostałe dzieci siedziały grzecznie na ławeczkach obok mam. Dzieciaki oglądały na swoich smartfonach najnowsze filmiki o tym, co znajduje się w jajku niespodziance. Nieco starsze stukały zawzięcie z niespotykaną prędkością w klawisze, grając w jakieś gry, gdzie toczyła się walka dobra ze złem. W tym czasie mamy namiętnie przeglądają plotkarskie strony Pudelka lub esemesowały, nie zwracając uwagi na dzieciarnię i otoczenie. Nagle jedna z mam poderwała się z ławki i nerwowo obiegnęła oczami otoczenie. Zatrzymała wzrok na maluchu kopiącym dół w piaskownicy, po czym z pretensją w głosie zwróciła się do koleżanki siedzącej obok;

– No, Jadźka. Chyba przesadziłaś. Wysyłasz mi esemesa, że mój Jacuś siedzi w piaskownicy? Nie mogłaś po prostu zadzwonić? – i zdenerwowana podeszła do piaskownicy.

– Co robisz, kochanie, czemu się nie bawisz jak inne dzieci. Po co ci ten dół? Jeszcze sobie rączki pobrudzisz.

Dzieciak spojrział na nią i nie odpowiadał.

– No powiedz, kochanie, mamie, co się stało? Gdzie masz swojego smartfona?

– Zakopałem go – mruknął maluch. – On jest be.

– Skarbie, telefonów się nie zakopuje. Przecież lubisz oglądać na nim bajki, prawda?

– Tak, ale on był brzydki. Niebieski, a ja chcę czerwony – i się rozryczał.

– No nie płacz! Jutro mamusia kupi ci nowy. A teraz chodźmy już do domu. Pooglądasz sobie bajki w telewizorze.

Wzięła go za rękę i wraz z chłopcem opuściła plac zabaw.

W tym samym czasie nasz golfista cierpliwie trenował odbijanie piłek golfowych. Jedna po drugiej lądowały w siatce. W pewnym momencie, biorąc potężny zamach, mężczyzna lekko się zachwiał, piłka trafiona krawędzią kija poszybowała nad urządzeniem i sto metrów dalej trafiła w głowę przejeżdżającego rowerzysty. Ten padł jak rażony piorunem na wyasfaltowaną ścieżkę. Przerażony golfista podbiegł do nieprzytomnego człowieka. Zaczął go cucić, a gdy on otworzył oczy, powoli pomógł mu się podnieść.

– Jak pan się czuje? Może wezwać lekarza? Jeśli trzeba, pokryję wszelkie koszty. Przepraszam pana najserdeczniej, nie wiem, jak to się stało, po prostu chwila nieuwagi. Oczywiście mnie to nie usprawiedliwia... – tu przerwał zaskoczony faktem, że mężczyzna nie zwracał uwagi na jego słowa, tylko wpatrywał się z szeroko otwartymi oczyma w jakiś punkt. Golfista podążył za jego spojrzeniem i wtedy GO zobaczył.

Nie wierzył własnym oczom. – Nie, to niemożliwe – pomyślał. Uszczypnął się. Obraz się nie zmieniał. A więc nie śnił. W mgnieniu oka uświadomił sobie niecodzienność tego, co widzi. Wyciągnął z kieszeni telefon. Nagrał krótki filmik, kliknął kilka słów komentarza i wrzucił wszystko na Facebooka. Po paru sekundach nagranie zaczęło krążyć po sieci. Wzbudzało tak wielką sensację, że po paru minutach miało już kilka tysięcy udostępnień. Jak rozchodzące się kręgi na wodzie, gdy wpadnie w nią kamień, wiadomość docierała do coraz większej ilości ludzi. Do dwóch stojących, zapatrzonych w NIEGO mężczyzn dołączali zaintrygowani przechodnie. Jedna z mam siedzących na ławeczce przy placu zabaw widocznie też obejrzała filmik golfisty. Podniosła wzrok znad ekranu. Zobaczyła GO. Stuknęła w bok siedzącą obok koleżankę. Pokazała jej filmik i wskazała palcem na NIEGO. Nie minęła chwila, gdy wszystkie mamy zostawiły



swoje dzieci samopas i podeszły do gęstniejącego, milczącego tłumu, aby z bliska zobaczyć ten fascynujący widok.

Przytulony do dziewczyny chłopak kątem oka zauważył ruch. Oderwał na chwilę wzrok od tabletu, na którym oglądał film i również GO zobaczył. Pokazał dziewczynie i po chwili młodzi dołączyli do widzów. Tłum się powiększał. Nie wiadomo, kto powiadomił policję o zgromadzeniu. Przybyli na miejsce funkcjonariusze podzielili się na dwie grupy. Jedna ekipa sprawnie odgrodziła gapiów od NIEGO barierkami, nakazując zachowanie ciszy, a druga grupa w tym czasie próbowała zapanować nad korkiem, jaki powstał na ulicy przylegającej do parku. Ściągnięci sensacją kierowcy zostawiali swoje samochody na awaryjnych światłach i biegli, by zobaczyć to niecodzienne zjawisko. Wkrótce pojawiła się lokalna telewizja. Ekipa sprawnie rozstawiła trzy kamery i telebimy w odległych zakątkach parku i rozpoczęła transmisję na żywo z tego sensacyjnego wydarzenia. Miasto się wyludniło. Park i okolice wypełniał teraz milczący, pełen szacunku tłum. Nawet ptaki nie zakłócały ciszy, bo wystraszone kłębiącym się tłumem opuściły gniazda ukryte w koronach drzew. Mieszkańcy dalszych dzielnic oglądali GO w telewizji. Zakłady pracy przerwały produkcję. Biura i giełda zawiesiły działalność. Siedzący w domach, z oczyma wbitymi w ekrany telewizorów, zafascynowani, oglądali bezpośrednią transmisję z parku. Po trzydziestu minutach od niefortunnego wypadku z piłką golfową w roli głównej cały kraj żył już sensacją dnia. Prezydent przerwał orędzie do narodu i zażądał od służb specjalnych wyjaśnienia tego fenomenu. Gdy minęło następnych piętnaście minut, sensacyjna wiadomość dotarła do najdalszych zakątków kuli ziemskiej. W natychmiastowym trybie zwołano nadzwyczajne posiedzenie Rady ONZ, aby zająć się społecznymi aspektami i następstwami tego, co zobaczył cały świat. Świat, który mówił tylko o TYM. Tymczasem człowiek będący sprawcą całego tego zamieszania, siedzący na ławce, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dookoła niego dzieje. Trwałoby to wszystko dłużej, gdyby w ciszę panującą w parku nie wdarł się łoskot nadlatującego śmigłowca telewizji CNN.

Czar prysł. Siedzący na ławce mężczyzna, niczego nieświadomy sprawca tego całego zamieszania, spojrzał w górę, zobaczył wycelowane w siebie kamery, a po chwili otaczający go milczący tłum.

Dziennikarz w helikopterze, przekrzykując łoskot wirnika, darł się do mikrofonu:

– Proszę państwa, cóż to za cudowny widok. To nieprawdopodobne, można by rzec – cud. To, co wydawałoby się niemożliwe, jest faktem. Oto od czasu kiedy w Chinach kanclista cesarza He Di, prawie dwa tysiące lat temu, po licznych eksperymentach z korą, jedwabiem, a nawet sieciami rybackimi wynalazł papier czerpany, jego wynalazek jeszcze nie umarł naturalną śmiercią. Ten człowiek jest dowodem na to, że jeszcze nie wszystko stracone. Dla tych widzów, którzy nie wiedzą, co ten człowiek trzyma w rękach, powiem. To jest książka. Najprawdziwsza papierowa książka. To jest sensacja na skalę światową!

Tymczasem zaskoczonemu mężczyźnie książka zsunęła się z rąk. Upadła na ziemię okładką do góry.

Reporter krzyknął do operatora kamery:

– Szybko rób najazd, zbliżenie, pokaż, co ten facet czyta.

Kamerzysta powiększył obraz i widzowie całego świata zobaczyli... Bolesław Prus „LALKĄ”.

Humoreska nagrodzona w barlineckim konkursie literackim „O Łabędzie Pióro, 2020”.



NASZYM AUTOROM I WIERNYM CZYTELNIKOM radosnych Świąt Wielkanocnych w towarzystwie swych rodzin – z pisankami i babami na stołach, a zaś z braku przy nim udomowionych przez wirusową pandemię przyjaciół, z dziełami gorzowskich poetów i pisarzy oraz – jak zwykle w tych okolicznościach – dobrego zdrowia, siły przetrwania i spełnienia marzeń w życiu prywatnym, jak i publicznym – życzą wydawcy „Pegaza Lubuskiego”.

„Alleluja” – malowane ustami przez Jana Sporka

Zasady współpracy

Przekazując materiały do redakcji czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” wydawanego *non profit*, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w wersji *online*,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych,
- ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.



CZASOPISMO LITERACKIE

pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227. Sekretarz red.: Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Krystyna Kamińska, Beata P. Klary, Ewa Rutkowska. Grafika: Zbigniew Olchowik, ilustr. wielkanocne: Sławomir Osiński (SŁOŚ), Jan Sporek. Zdjęcia: Bogdan Bloch, Jacek Buczyński, Beata P. Klary, Kazimierz Ligocki, Marzena Maćkała, Leszek Rafalski, Barbara Schroeder, I.K. Szmidt oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: ZO ZLP – WiMBP im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl. e-mail red. nac.: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

JERZY GRODEK*Pamięci Szyfera*

Uśmiecha się Tadziu zza chmurek,
właśnie popełnił fraszkę Jurek.

DOKTORSKA PRACA HABILITACYJNA?

Publiczna to rozprawa:
„prawo do głupoty,
a głupota z prawa”.

SYSTEMOWE NAWROTY?

Polak, Węgier dwa bratanki,
oba kraje: „wańki-wstańki”.

PISO-MANY

Nawet na koronawirusie
kapitał zbija tu się...

ZBÓJNICKIE RZĄDY

Co krok,
to skok.

JAK AFERA PRZYKRYWA AFERĘ?

Dynamika zachłanności
chroni tych gości.

**PRZED-WYBORCZE
TRAGEDIE (NARODOWE)**

Odkąd pandemia jest w obrocie,
Cisza o tamtej – w samolocie...

ZESZYTY SZKOLNE**NIEZAWODNY ŚRODEK ROZŚMIESZAJĄCY
W CZASACH ZARAZY**

*Nad prawidłowym orzecznictwem sądów
rejonowych i wojewódzkich czuwa sąd ostateczny.*

*Konserwatyzm to ochrona
przed psuciem się np. konserwy.*

*Szlachta soplicowska poczuła miłość
do swej rozebranej ojczyzny.*

*Dyrektor uściśnął pracowników
z przodu i z tyłu.*

Jak strażacy zobaczą pożar to sikają.

*Przed wściekłą chronią człowieka
szczepionka i kaganiec.*

*Dżdżownica pulchnia glebę
i robi ulgę rolnikowi.*

*W czasie burzy babcia wystawiła obraz święty,
aby piorun strzelił w niego, a nie w dom.*

**FERDYNAND GŁODZIK****Konstatacja**

Chociaż ciocia przestrzegała,
by kasą nie szastać,
wszem nagrody rozdawała
baba kulfoniasta!

Za nic mając gospodarność
i życie na kredyt,
byle tylko szmal zagarnąć,
bo im się należy.

Nikt się wtedy nie przejmował
gniewnym ludu głosem,
sytuację sprokurował
pewien zwykły poseł.

Wie to dzisiaj nawet świrus,
przyszły czarne chmury,
zwiastował koronawirus
koniec koniunktury.

Jak z opresji tej wyjść cało?
Stopniały zapasy,
wszędzie braki, wszędzie mało,
lecz nie ma już kasy.

Zgubna pycha zawiniła
i chora ambicja
od lat paru to wieszczyla
CIOCIA-OPOZYCJA!

ZESZYTY SZKOLNE

(ciąg dalszy)

*Kiedy jest ślisko, dziadek nie
wychodzi. Boi się złamać
rękę, nogę lub inny członek.*

*Romans to gatunek literacki,
który dzieje się nocą.*

*Potraktował ją jak kobietę
i od tej pory jest w ciąży.*

*Nie mam czasu na życie, bo
znow trzeba iść do szkoły.*

*Moja ciocia kupiła kielbasę
podlaską
i leżała później przez
tydzień w lodówce.*

*Praca lekarza jest trudna
i niebezpieczna dla
pacjentek.*

*Aleksander Głowacki
to panińskie nazwisko
Bolesława Prusa.*

Glisty mają rybacy i dzieci.

*Podczaszy to cios
w tył głowy.*

*Z szopy wyszli żacy,
trzymając w rękach narzędzia
potrzebne do otrzęsin.*

*Mama nie wypuściła mnie
z domu z powodu ciemnoty.*

*Wśród wirusów rozróżniamy
mikroby, mikrony, mikrusy
i mikrobusy.*

*Potrzeby fizjologiczne
u chorych w szpitalu
załatwia salowa.*

*Walutą angielską są funty
i penisy.*

*Lekarze przed operacją
myją ręce i pielęgniarce.*

